

# GAZETA KRAKOWSKA

Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

ISSN0208-7693

Kraków • Nowy Sącz • Tarnów

2, 3, 4 IV. 1983 r.

Nr 78 (10647)

Rok XXXV

Cena 10 zł

Wyd. A.

## Miesiąc Pamięci Narodowej

WARSZAWA (PAP). W piątek, 1 bm. rozpoczęły się obchody Miesiąca Pamięci Narodowej.

W kwietniu odbędą się w Polsce wiele imprez o głębokich treściach patriotycznych i społeczno-politycznych. Godnie upamiętniony zostanie wkład narodu polskiego w zwycięstwo nad faszystami i budowanie pokoju światowego oraz martyrologia 6 milionów Polaków poległych i pomordowanych w latach niemieckiej okupacji. Doniosłym akcentem tegorocznego Miesiąca Pamięci Narodowej jest 40. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim i związany z tym cykl obchodów o zasięgu międzynarodowym. Ideą przewodnią jest ukazanie postawy i mecenstwa Żydów polskich, a także wspólnej walki Polaków i Żydów przeciwko faszystowskiej eksterminacji.

## Nadzieja

Z nową spotykamy się przy świątecznym stole. Zastąpił nam go nasz radości i smutku. Wyciągnięta dłoń do brata uprzytamnia nam, że odtrącić jej nie wolno. Wiosna nie jest nigdy złudną nadzieją. Jeszcze jeden dzień zawieruchy, jeszcze może nawet śnieg z deszczem, jeszcze bioto nie obeszło na ścieżce polnej, ale wiemy, że jutro, że pojutrze będzie inaczej, lepiej. Z taką nadzieją w sercu witamy Was Czytelnicy w garze świętecznej.

To słowa Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. To od bezkształtu nieporozumień, waśni, tragicznych podziałów idziemy dzisiaj krok po kroku ku braterskiemu pojednaniu. Serca nasze przepełnione są trwożą, bo sity wojny, zamętu i przemocy w tak oczywisty sposób chcą dokonać nowego podziału świata nekanegego w wieku dwudziestym krwawymi wojnami. Uplynęło już od roku 1945 lat trzydzieści osiem; ciągle mamy w pamięci i pamięć tę w młodszych pokoleniach umacniamy o największej zbrodni w dziejach ludzkości — II wojnie światowej. I jednak — mamy nadzieję, jakby wbrew nadziei. Wierzymy, że z całą naszą biedą — jesteśmy bogaci w zdolność do największych poświęceń, prawdziwej cierpliwości i radości z małych rzeczy. Nie przekreśli ich wroga ręka działająca w ukryciu, ale też z ukrycia powinniśmy dzisiaj wydobyć najlepszych ludzi i najlepsze czyny. Z ukrycia bolesnych nieporozumień, bezsensownych podziałów. Z ukrycia smutku, który przeradza się na naszych oczach w radość nadziei. Bez niej trudno żyć.

Ze wszystkich sił i otwartym sercem witamy na naszych łamach w świątecznym goście drogich nam i bliskich Czytelników. Kierujemy do nich i do ich przyjaciół, rodzin, towarzyszy pracy słowa pełne otuchy, że słońce nadziei przycylnie jest naszym sprawom.

Piękny krajobraz Świąt Wielkiejnocy łączy się istotnie, ażeby z obyczajem narodowym, który obejmuje rzesze ludzi wierzących i niewierzących. Mówimy do siebie tym samym językiem jak przed wiekami, ale jakże często zapominamy, że „słońce serca nam przesywa — i bija, wdzienne błaskowi... Rekamit pochamy tworzywa — od bezkształtu ku kształtowi”.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK



## Pogodnych i spokojnych Świąt życzy Redakcja

— Panie Profesorze! Czy zechciałby Pan na początku naszego rozmowy spojrzeć na dzieje i losy Polski z perspektywy historii starożytności?

— Bardzo proszę, ale z góry ostrzegam, że odpowiedź zabrzmi nieco paradoksalnie. Otóż, moim zdaniem, nasz kraj, nasz naród miał wyjątkowo szczęście. Patrząc realnie, jako państwa i narodu dawno już nas mogło nie być. Proszę popatrzeć: w średniowieczu najpierw posuwa się od zachodu walec niemiecki; potężne cesarstwo niemieckie wchłonęło już

krwawia, iż powstaną warunki dla wywalczenia niepodległości. Przychodzi rok 1939 — znowu cud! Myśląc realistycznie, nie powinniśmy podejmować walki, tylko poddać się nawale hitlerowskiej. Jednak nasza desperacka decyzja obrony uratowała w dalszej perspektywie, i nas, i świat. Przeciwnie, jakieś Hitlerowi, daliśmy sygnał do rozpoczęcia wojny światowej, która rozpoczęła później i w innych warunkach, mogłaby się różnie skończyć.

— Ten skrót naszych dziejów, dokonany przez Pana, upo-

## HEROD czy KONRAD?

Z prof. dr hab. ALEKSANDREM KRAWCZUKIEM o ... romantyzmie i pozytywizmie rozmawia Zdzisława Otęga

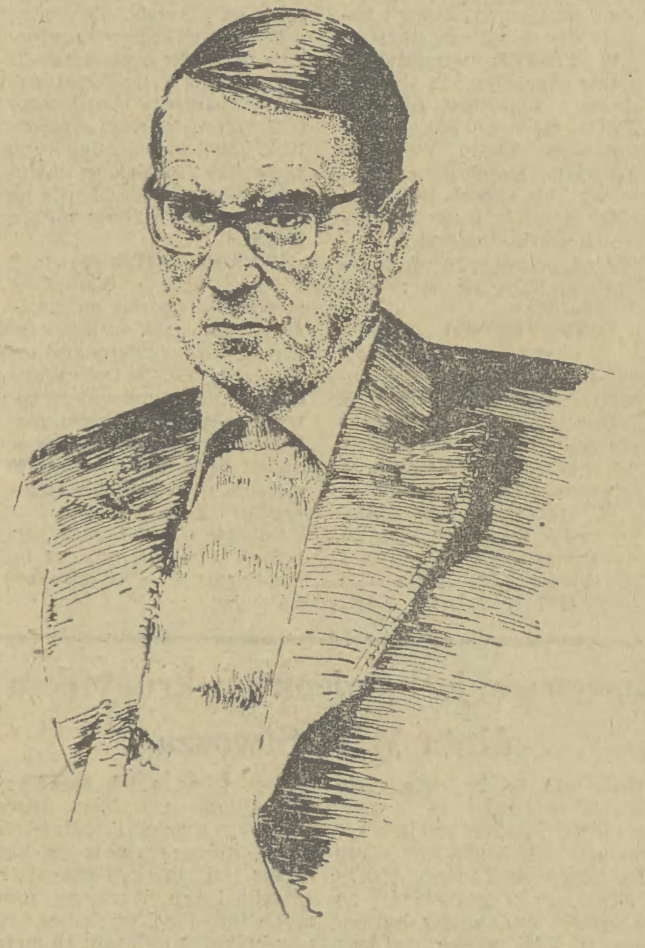
Słowian Polabskich, Zachodnich i nas również zmiażdżyłoby, byłbyśmy bowiem małym narodem, skłóconym (podział dzielnicowy). Nagle, gdy los Polski wydawał się już przesądzony, a germanizacja tylko kwestia czasu — cud! Impet Niemców sianbie, rzesza niemiecka się rozpadła. Potem w XIII wieku najazdy tatarskie, całkowicie zniszczyły ogromną potęgę polityczną i kulturalną, którą stanowili Słowianie Wschodni. Do Polski dotarła tylko ostatnia fala tej ekspansji. I znowu nas to uratowało. Następnie dochodzi do skutku rzecz niewiarygodna: koncepcja unii polsko-litewskiej. Dzięki temu Polska, która była stosunkowo niedużym krajem, staje się jednym z największych w Europie. Właściwie można powiedzieć, że za darmo, jednym skokiem, bez rozlewu krwi. Niestety, później bardzo łatwo to państwo straciliśmy. Nie potrafiliśmy go utrzymać i tu głównie musimy obwinąć samych siebie. Potem przychodzi rozbiory. Ale w tym nieszczyście znowu mamy szczęście; kiedy jeden z zaborców uciska bardziej, drugi jest łaskawszy. Przecież na początku XIX wieku ucisk austriacki był najgorszy ze wszystkich. W drugiej natomiast połowie stulecia, za cesarza Franciszka Józefa, cieszyliśmy się dużymi swobodami obywatelskimi.

Potem przychodzi I wojna światowa — cud absolutny! Kto się mógł spodziewać, że trzej zaborcy tak się wzajem wy-

ważnia mnie do postawienia tezy, że nasz los miał nietypowy i dość romantyczny przebieg. I dlatego niepokoi mnie fakt, iż trwa u nas coś na kształt kampanii antyromantycznej; zażywają się i upraszcza romantyzm, sprowadzając go do szalenstwa, irracjonalizmu, a w pozytywizmie z kolei upatruje się wszystkiego co dobre dla rozwoju społeczeństwa. Próbuję się więc stworzyć sztucznie pewien mit, pewien stereotyp myślenia, niekorzystny dla cech romantycznych. A przecież odkąd ludzkość istnieje, zawsze w jej dziejach uzewnetrzniły się dwa nurty, dwie zasadnicze postawy człowieka wobec rzeczywistości. Jak Pan, jako historyk, widzi ten dy-

— Romantyzm, jako prąd w sztuce, kierunek literacki jest zjawiskiem typowym dla wieku XIX i tylko w tym kontekście może być oceniany. Natomiast ujmując sprawę szerszej, rzeczywiście możemy stwierdzić, iż zawsze, odkąd ludzkość zaczęła notować swe dzieje, przejawiały się w jej historii te dwie odmienne postawy. Pierwsza — racjonalna, wyrozumowana, moralistyczna; druga — właśnie irracjonalna, uczuciowa, postawa zrywów i marzeń, nie skrepowanych uczuć. Są to cechy charakterologiczne, zarówno osób jak i pewnych grup społecznych, ludów, a nawet, powiedziałbym, pewnych okresów historycznych.

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)



JERZY MADEYSKI

Wielkanoc jest świętem wesołym, zwłaszcza w oczach Pań, rozkwitających wiosną spod nieforemnych płaszczki. Piękna. Gorzej, że w radości, płynącej z odzyskania figury, Panie wciąga się na czynny wielkie i nawet niebezpieczne dla pośledniej części ludzkiego gatunku, bowiem w swej euforii pragną dostosować wszystko do siebie, czyli odwieżyć, upiększyć, wypucować i odświeżyć przy pomocy niezbyt nowoczesnego maza i energochłonnego narzędzia, jakim jest mężczyzna.

Wielkanoc jest świętem wesołym, zwłaszcza w oczach Pań, rozkwitających wiosną spod nieforemnych płaszczki. Piękna. Gorzej, że w radości, płynącej z odzyskania figury, Panie wciąga się na czynny wielkie i nawet niebezpieczne dla pośledniej części ludzkiego gatunku, bowiem w swej euforii pragną dostosować wszystko do siebie, czyli odwieżyć, upiększyć, wypucować i odświeżyć przy pomocy niezbyt nowoczesnego maza i energochłonnego narzędzia, jakim jest mężczyzna.

Ze swej natury nieporęczny Pan ma jednak zaletę, właściwą wszystkim prymitywnym urządzeniom, a mianowicie daleko p... nieszę wszechstronność, czym gorzej nad elektronicznymi cackami domowego użytku w stopniu równym przeważa prehistorycznego tłuka pięściowego (ledwie obrobiony kamień, jedyną narzędzie naszych matuludzkich przodków), nad pałką z dwudziestoma nawet programami.

I tak, umiejętnie używany mężczyzna, może wykonać wszelkie prace, w tym zwiast-

Bo teraz, to co innego. Starczy kupić byle śledzia i już radość w całym domu, asumpt do wspominków o dawnej Polsce i stusnym gniewie prababki, której w podobną Wielkanoc przygluchy reżnik przysiał szynkę ardeńską miast zamówionej parmeńskiej, psując świąteczną atmosferę na długie dni.

Toż samo ze śmigusem. Drewniej nie polana panna miała humor kusański, podczas gdy dziś, przeciwnie, właśnie suchy powrót do domowe pielesze doda jej i nie tylko jej zresztą, optymizmu na czas powieści.

Nie wszystkie jednak tradycje przybrały opaczne kształty, zwłaszcza w sposobie bycia, o czym ze swadą pisał Łoźński: „Oto najpierw sąsiad z pretensjami do wielkiego święta, snob, co wywarza, tj. afektuje gestami i zemdloną mową... bądź srogi towarzysze Mawsa, co sobie ogarniają parmeńskiej, okiem gryzie orzechy, wąsem muchy ścina, co nie znosi kwiatów, bo lubi tylko zapach prochu, nie idzie do tańca, bo zna harcze tylko z Tarem, Szwedem i Moskwicinem, nie dba o muzykę, bo najmlszy mu odgłos surm i portortów przy dział huk, aż mu któraś do-

## WIELKANOC

czar oparte na nieskomplicowanych ruchach jednostajnych, jak trzapanie, mycie i pastowanie podłóg, tarcie chrzanu, bicie piany i tak dalej, aż do wymagającego wyższej inteligencji mieszania ciasta.

Najświetlejszych mężczyzn Panie wysyłają nawet, choć z miłą słowobóbną, do miasta, wręczyszmy im uprzednio torbę wraz z drobiazgowym wykazem sprawunków.

I w tym dopiero momencie określenie Wielkanocy, jako święta radości nabiera jakiegoś sensu, przy czym Wielkanoc A. D. 1983 jest szczególnie wesoła, co postaram się udowodnić w kontekście tradycji, tudzież cenniejszych od niej doświadczeń długiego już przebiegu żywota.

Otóż w dalekiej i jakby coraz dalszej Sępiłki meska Wielkanoc zaczyna się już w południe Wielkiego Piątku, co tamtejsi senhores i caballeros tłumaczą w sposób prosty i nader sugestywny: Chrystus już nie cierpi, a my jesteśmy zbawieni, zatem cieszymy się i podsycajmy swą radość lokalnym winem.

Niestety. Ostatni przymiłnik wyklucza przeniesienie andaluzyjskiego wycieczaju na nasz teren, bo krajowym winem można co najwyżej podlać zapiekłą złość i nienawiść do świata, a przecież nie o to chodzi. Ze niegdysiejsze próby wyparcia alkoholu kawał też jakoś się nie udaly, tradycje uratowała mogą wina importowane (pięć godzin stania w kolekcje), wódka monopolowa (jedna godzina), lub domowa gorzalka (około roku mniej więcej). Tak czy owak niedobrze. Czyżbyśmy zatem musieli zrezygnować z tradycji?

Porozbijmy więc doświadczenie. To zaś podpowiada właśnie: te teoretyczne święta będą nadzwyczaj wesołe. Zwiastują w porównaniu z zamierzchłymi świętami sprzed iluś tam lat, kiedy to, Bożem, a prawdą, żadnych powodów do radości nie było.

incipna pani powie — dajże się, panie, dobrze wysmarować, abyście nie zarzewieli i zamknąć w schowanku aż do przyszłej wojny”.

Lub zabawy, poczynające się w najlepszej komitywie, aż tu nagle, jak pisze Kochanowski, dla odmiany:

Kuflę leć jak grad, a drugi już jęczy Wziął koniwy, aż mu na łbie zostały obcezy Potem do arkuabuzito — a więc to biesiada? Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?

Ba, żeby tu fraszka tyczyła tylko biesiadnego stołu!

Więc może lepiej już przejść do tańców, jako nieodzownej części wielkanocnych ślubów? Można by je zaczynać polonezem (nie wódka tej nazwy, ani też samochodem, jako obiektem kanciastym, smrodliwym i już choćby dlatego do tańca niezbyt poręcznym), któremu, jak pisał liwowiezyk Schultz „żaden inny europejski tańiec nie dorówna, tak, jak żaden cudzoziemiec nie zdola sobie przyswoić tej gracji, jaką rozwijają w nim Polacy”.

Bo też tańczono go na dworze francuskim i w Niemczech, choć, jak wspomina niemiecki, więc wiarygodny anonim „polonez tańczony przez Niemców tak się ma do poloneza tańczonego przez Polaków, jak zakalkiwa sylabizacja żeczka do skończonyj deklamacji artysty” i tańczono go w Pradze i w Moskwie, na Zachodzie, Wschodzie, Południu i Północy, gdyż i do skandynantskich Wzów trafił wraz z najwcześniejszymi spośród zachowanych polonocowych melodii, a dalszszymi koleśdami. „W ślobie leży” i „Bóg się rodzi”.

Tak więc świąt tańczył, jakieśmu mu zagrali, ze co zapamięta dziś się na nas odgrzewa. Trudno. Osobiście, jeśli to kogoś interesuje, będę nadal tańczył po swojemu, czego i Państwo życze.

## Po rocznym postoju ruszyły wreszcie urzędzenia czekoladowni ZPC „Wawel”

(Inf. wł.) Po rocznym postoju, spowodowanym brakiem dostatecznych ilości ziarna kakaowego ruszyły wreszcie w „Wawel” urzędzenia czekoladowni, a z linii technologicznej zjechały nie widziane tu od 12 miesięcy tabliczki twardej czekolady. Stało się to możliwe dzięki współpracy z polonijną firmą „Carpatia”, która zakupiła ze swoich środków dewizowych ziarno kakaowe i zleciła usługowy przerób wiśnie „Wawelowi”. Cały dotychczasowy kontrakt opiewa na 1400 ton twardej czekolady w tabliczkach, sprowadzonych z 800 ton najprawdopodobniejszego ziarna kakaowego.

Obecnie w magazynach znajduje się już 40 ton tego surowca, zapewniającego ciągłą pracę przez okres 2 tygodni, następnie partia jest już podobno zapłacona. Wiedług zapewnień czekolada ma być najlepszej jakości, takiej jaką pamiętamy sprzed wieśu lat, niestety cena będzie dzisiaj... 250 zł za tabliczkę. Taką właśnie cenę wzięła wspomniana wyżej firma „Carpatia”, która będzie w całości dysponentem wytworzonej w „Wawel” czekolady.

A co będzie miało „Wawel” z tej współpracy? Przede tym najprawdopodobniejszego ziarna kakaowego. (DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Red. L. Mazan dla „Gazety” — z Pragi:

## Szwejk —

to autentyczna postać, nie wymysł Haszka!

(INF. WL.) Byłem na wystawie, którą chciałby zobaczyć każdy, kto choć raz miał w ręce „Przygodę dobrego wojaka Szwejka”. Wystawa o twarza została przed kilkoma dniami w Centralnej Bibliotece w Pradze i wala na nią prawdziwe tłumy, długo deliberyując nad każdą fotografią czy dokumentem. No, ale też jest co oglądać!

Może najpierw — jak dośzło do wystawy. Otóż, jak wiadomo, największym w świecie znawcą twórczości Jarostawa Haszka i „Szwejka” jest RADKO PYTLIK, autor wydanej i u nas książki „Wieczny wólcęga”. Pytlík był pierwszym prezesem towarzysztwa haszkologicznego w Pradze i nie kwitowanemu autorytetem w nowej stosunkowo dziedzinie nauki — „szwejkologii klasycznej”, którą zresztą „Gazeta” szeroko prezentowała na swych łamach. Staty podarowały mu jednak inny szwejkolog AU-

GUSTYIN KNESL, składając publicznie oświadczenie, że w swych badaniach udowodnił to, czego nie udało się Pytlíkowi: że każda z występujących w powieści postaci istniała naprawdę!

I udowodnił. Z prawdziwym wzruszeniem patrzyłem na autentyczną fotografię autentycznego porucznika Rudolfa Łukasza, wykładowcę w praskiej szkole wojskowej i właściciela „pucyfka”, szeregowca Straszliki, pierwowzoru Szwejka. Zdjęcie Straszliki można również na wystawie obejrzeć: wisi tuż obok fotografii kapitana Sagnera i sierżanta rachuby Vańka.

Vanek — właściciel drogerii w Kralupach potraktowany jest przez Knesla szeroko: możemy oglądać nie tylko zdjęcia z różnych okresów jego życia, ale nawet świadcząca szkolne, niezbyt zresztą chwalebne świadczące o pilności (DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

## HELENA PIECZARA

## Walka Dobra ze Złem,

## Morderstwo

## i Występna Miłość

czyli Rzec o kurtyynie Henryka Siemiradzkiego

Wiek swój pokrzywił zdanem zarzewiałem Kto częściej zabawy szuka tu powodu Silniej niż dusza rozmawia z ciałem Rozmawia scena ze sercem narodu. (Jan Nepomucen Kamiński.)

„Chciubą Krakowa powinna stać się scena narodowa we wspólnym przybytku pomieszczona, a moralne pozytywki z tej zmiany siedziby, nie tylko naszego miasta lecz i Polski całej, będą własnością...” — to słowa kierownikowi do krakowian dziennikarce i literatowi minionej stulecia, Kraków postanowił mieć swoją scenę, nowoczesny na miarę światowa teatr. I tak też się stało.

2 czerwca 1891 roku położono uroczyste kamień węgielny pod przyszły gmach sztuki dramatycznej, który miał być, jak podano w akcie erekcyjnym „sumptem kraju i ofiarności obywateli”, a już 21 października 1893 roku odbyło się pierwsze przedstawienie. Tak oto Teatr Miejski, zwany od 1909 roku Teatrem im. Juliusza Słowackiego, otworzył swoje podwoje, chociaż w jego wnętrzu brakowało jeszcze czegoś, bardzo ważnego szcze-

gółu... „wnętrze naszego nowego teatru jest okazale, a nawet z pewnym zastrzeżeniem gustowne. Kurtyna główna, zamówiona przez Radę Miasta Krakowa u Henryka Siemiradzkiego, będzie niezawodnie dziełem sztuki godnym znakomitego malarza. Cena obrazu płótna bardzo niska w stosunku do jego rozmiarów. Oznaczenia została kwotą 15.000 złr. Mistrz Siemiradzki obiecał zadażyć na czas.” Niestety tylko obiecał, bowiem spóźnił się i to o całe dwa lata, z zawieszonym kurtynie. Zresztą lojalnie uprzedził w zawartej umowie, że terminu nie dotrzyma. Malował kurtynę przebywając w Rzymie. Wspomina o tym J. S. Zubrzycki: „W Rzymie Siemiradzki mieszkał na ulicy Via Gaeta. Kiedy przyszedłem do jego pracowni, tuż przed świętami Wielkanocnymi, siedział przy stołku i przeglądał jakieś papiery i szkice. Pracownia była duża, z góry oświetlona na środku atelier, na staludze postawiony był wielki szkieł, za nim obraz obryzany w dwóch walcach rozpięty. Mistrz powiedział: to kurtyna dla teatru w Krakowie...”

Po skończeniu malowania, kurtyna, została bardzo dokładnie zapakowana i pod pieczęcią nadzorem prze-

wieziona z Wiecznego Miasta do Krakowa. Była wielkim płótnem, 11,94X 9,60 m., i to nie było jakim, cienkim linałym, brukselskim. Obraz namalowany został na trzech brytach o szerokości 3 metrów każdy. Artysta malując ją zastosował technikę wieciana, co pozwoliło na dobre oddychanie płótna i przepuszczalność powietrza.

Do Krakowa kurtyna dotarła w lutym 1894 roku. Jednym podobala się, inni ganili, a byli i tacy co cały czas zastanawiali się...

dla czego właśnie Siemiradzki?

„ktoro w rozpisany konkursie na kurtyne dla Teatru Miejskiego, nie brał udziału. Do ogłoszonego konkursu propozycje swoje zgłosiło 6 autorów: Stanisław Wyspiański, Józef Mehoffer, Tadeusz Wybiński, Jadwiga Bogucka, Tomasz Lisiewicz, Konstanty Mankowski. Komisja miała trudny orzech do zgrzyżenia. Wszystkie przedstawione prace, były bardzo ciekawe, zaś niewątpliwie wybił się oryginalnością projekt Mehoffera pod krytycznym „światło i światła”. (CIĄG DALSZY NA STR. 4)

### Apel uczestników krajowej narady aktywu robotniczego do społeczeństwa polskiego

Apelujemy do całego społeczeństwa o rzeczową, zaangażowaną dyskusję a później o konsekwentne wdrażanie, realizowanie i egzekwowanie wspólnie przyjętych ustaleń związanych z przedstawionymi projektami rządowego programu przeciwdziałania inflacji i programu oszczędnościowego.

### Dalekopisem z kraju...

(d) Z OKAZJI święta narodowego Węgier — 38. rocznicy wyzwolenia — i sekretarza KC PZPR, prezes Rady Ministrów, gen. armii Wojciech Jaruzelski i przewodniczący Rady Państwa Henryk Jablonski skierowali na ręce przywódców Węgierskiej Republiki Ludowej depeszę z serdecznymi pozdrowieniami i życzeniami.

### ...i ze świata

W BUKARESZCIE podpisał program współpracy naukowo-technicznej między PRL i SRR na lata 1983-85. Program określa wybrane tematy do wspólnej realizacji z dziedziny górnictwa, energetyki, budowy maszyn i chemii.

### Konserwacja kamiennego krucyfiksów

(Inf. wł.) W kościele Mariackim w Krakowie rozpoczęła się konserwacja kamiennego krucyfiksów dłuta Wita Stwosza.

### W Muzeum Etnograficznym

### Pękają malowane jaja...

(Inf. wł.) Gdy w roku 1900 Severny Udziela rozpoczął gromadzenie w zbiorach etnograficznych Krakowa pierwszych pisanek — na pewno nie przypuszczał, że w 83 lata później magazyn Muzeum Etnograficznego dysponował będąc aż 6 tysiącami kraszonurczych jaj.

### Pogoda na święta

WARSZAWA (PAP). Na święta możemy spodziewać się ciepłej i dość słonecznej pogody. Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej przewiduje w dniach 2-3 bm. zachmurzenie na ogół duże i miejscami opady.

## Wokół programu antyinflacyjnego Jak zdejmować nawis?

WARSZAWA (PAP). Luka inflacyjna czyli lisańca pieniądzy które nie mają obecnie pokrycia w towarach na rynku, szacowana była w końcu ub. roku na ok. 500 mld zł. Kwota ta odkladała się latami, narastała na skutek utrzymania niskich cen i wysokiej dynamiki dochodów.

Inflacja — zwłaszcza inflacja tiumiona, występująca tam gdzie automatyzm cenowy nie wyrównuje natychmiast poziomów podaży i popytu — karmi spekulację. Nawet najbardziej zdecydowana z nią walka przyniesie może ograniczone tylko rezultaty.

### Rozporządzenie ministra zdrowia i opieki społecznej

### Choroby nie powodujące obniżenia zasiłków

WARSZAWA (PAP). Minister zdrowia i opieki społecznej wydał rozporządzenie w sprawie wykazu chorób, z powodu których nie ulega obniżeniu zasiłek chorobowy.

### Ujawnili się kolejni działacze b. „Solidarności”

(Inf. wł.) 1 bm. rano do Prokuratury Wojewódzkiej w Krakowie zgłosił się Jan Ciesielski — członek tzw. Regionalnej Komisji Wykonawczej „Solidarności Małopolska”.

### Szwejk — to autentyczna postać, nie wymysł Haszka!

(DOKONCZENIE ZE STR. 1) Wyniku jakiejś koleżeńskiej sprzeczki. Absolutnie autentyczny był jednak — tu kolejno wygłada cenzurka jednorocznego ochotnika Marka, studenta praskiej szkoły handlowej.

### Konserwacja kamiennego krucyfiksów

(Inf. wł.) W kościele Mariackim w Krakowie rozpoczęła się konserwacja kamiennego krucyfiksów dłuta Wita Stwosza.

### W Muzeum Etnograficznym

### Pękają malowane jaja...

(Inf. wł.) Gdy w roku 1900 Severny Udziela rozpoczął gromadzenie w zbiorach etnograficznych Krakowa pierwszych pisanek — na pewno nie przypuszczał, że w 83 lata później magazyn Muzeum Etnograficznego dysponował będąc aż 6 tysiącami kraszonurczych jaj.

### Pogoda na święta

WARSZAWA (PAP). Na święta możemy spodziewać się ciepłej i dość słonecznej pogody. Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej przewiduje w dniach 2-3 bm. zachmurzenie na ogół duże i miejscami opady.

ona m. in. wprowadzenie powszechnego podatku wyrównawczego od ludzi najwyżej zarabiających, opodatkowanie tzw. wyższych form spożycia m. in. dużych domków letniskowych, obciążenie kosztami kryzysu osób zarobkujących za granicą.

### Przed XII Plenum KC PZPR — dyskusja na lamach „Gazety”

Jaka dzisiaj jest partia? Co powinno oznaczać, że partia jest przewodnią siłą społeczeństwa? Na czym powinno polegać, komu przewodzić, czyje interesy reprezentować, z kim wchodzić w sojusze?

### Pogromcy Widzewa w Krakowie

Trener H. Stroniarz złożył rezygnację — Wisła nadal bez Skrobowskiego i Gorgonia. Cała 19 runda piłkarskiej ekstraklasy z wyjątkiem meczu Widzew — ŁKS (3:1), który rozegrano awansiem w środę — odbył się już dzisiaj, tj. w sobotę.

### 4 dni przed wielkim meczem

Widzew bez Filipczaka — W poniedziałek odlot do Turynu — Gentile „aniołem stróżem” Smolarka? Już za cztery dni w Turynie czeka nas wielki mecz Juventus — Widzew, który polska telewizja transmować będzie o godz. 20.15.

### Promocja w szkole podoficerskiej

(Inf. wł.) Wczoraj odbyła się uroczystość promocji elewów szkoły podoficerskiej 6 Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej.

### W Krakowskim Podgórzu

### Zaopatrzenie w mięso i wędliny nie najgorsze, złe z kawą i bakaliarniami

Usprawnienie pracy handlu, zaopatrzenie sklepów i rytmiczne dostawy towarów to sprawa niebagatelna zwłaszcza zaś w obecnej trudnej sytuacji.

### Z życia TKKF

ZD TKKF Nowa Huta zorganizował turniej warcobów dla pań, wygrała C. Ułamek przed K. Hapek i B. Hapek.

### Z głębokim bólem zawiadamiamy, że w czwartek, 31. III, 1983 zmarł po długiej i ciężkiej chorobie operator filmowy

### Aleksander WASILEWICZ popularny „SASZA”

Był autorem zdjęć do wielu filmów i reportażi, szczególnie o Krakowie i ziemi krakowskiej, które darzył niekłamną miłością. Rodzinie składamy wyraz serdecznego współczucia.

### Trzeci mecz zdecydowanie

W rewanżowym półfinale meczu o Puchar Ligi koszykarskiej Wisły pokonał Gwardię Wrocław 89:88 (34:42), zdobywając decydującego kosza na parę sekund przed końcem porażki Kłudka.

### 20 pucharowych występów Widzewa

- 1981: Widzew — Anderlecht 1:4 (0:1), bramka Smolarek. 1981: Anderlecht — Widzew 2:1 (1:0), Smolarek. 1982: Hibernians La Valetta — Widzew 1:4 (0:2), Filipczak 3, Tokiński 1. 1982: Widzew — Hibernians 3:1 (1:1), Matusiak 2, Grębosz 1. 1982: Rapid Wiedeń — Widzew 2:1 (0:0), Tokiński. 1982: Widzew — Rapid 5:3 (3:1), Woźniak 2, Rozborski, Surlit, Wraga. 1983: Widzew — Liverpool 2:0 (0:0), Tokiński, Wraga. 1983: Liverpool — Widzew 3:2 (1:1), Tokiński, Smolarek.

# ZYWOŹY KROJÓW

FELIKS KIRYK

„Bolesławie, Bolesławie, ty przesiastany książę panie  
Ziemi swojej umiesz bronić uprost niezmorowanie  
Sam nie wypłasi i nam także smu nie dasz ni  
chwili  
Ani we dnie, ani w nocy, ni w rannej godzinie!”  
(Z Kroniki Gallii Anonima)

## BOLESŁAW KRZYWOUSZY

Wychowanek antycznego boga wojny Marsa, syn tygrysa, srogiego lew, smok zięjący ogniem i piorunowy grot, należy do najpopularniejszych władców polskiego średniowiecza. Epitetów, odbijających stawę wojenną drugiego syna Władysława Hermana, nie szczędzili mu obaj najstarsi kronikarze, gdyż również Gall Anonim nazywał Bolesława Krzywoustego chłopięciem marsowym, przekazując potomności sylwetkę panującego, który posługiwał się w rozwiązywaniu problemów politycznych orężem, nie gustując wyraźnie w mniej spektakularnych i nieradko zawilich negocjacjach dyplomatycznych. W historii ojczyzny zajął więc pozycję największego (po swoim imienniku, Bolesławie Chrobrym) wojownika, a okoliczność że wojny wiodł głównie o granice kraju na zachodzie, sprawiła, iż pamiętano o nim również po drugiej wojnie światowej, jako o symbolu powrotu Polski na ziemię płaskowską. Przez cały ciąg historiografii polskiej — od dzieł wspomnianych kronikarzy i ich następców po prace źródełnawodawcze historyków XVIII i XIX, a także naszego stulecia — cieszył się bowiem Krzywousty sympatią i był zaliczany zgodnie do bohaterów narodowych.

Narodzinom Bolesława Krzywoustego towarzyszyły okoliczności, które mogły się zdarzyć tylko w czasach śred-

niowiecza. Zresztą i wówczas zaliczono je do niezwykłych. Oto po długim i bezskutecznym oczekiwaniu przez Władysława Hermana i jego drugą małżonkę Judytę czeska na pojmką i żarliwych modlitwach o jego urodzenie, świadomość obójg książąt oraz dworskiego ich otoczenia przewiercała przykra myśl o bezpłodności księżnej. Kiedy racjonalne rachuby na błogosławiony stan Judyty ustępowały z roku na rok przed rzeczywistością przedziwną się bezdzietności, zaś pragnienie dziecka, co więcej chłopca, stawało się coraz bardziej przemożne — uznano zgodnie, że jego przyjsięcie na świat może nastąpić tylko na skutek aktywnego zaangażowania w to czynników nadprzyrodzonych.

Rada Franka, biskupa poznańskiego, aby zwrócić się o pomoc do św. Idziego, patrona nadrodzińskiego Prowansji,

Silna wiara w jego moc nadprzyrodzoną uczyniła — zdaniem kronikarza Gall — rzecz niezwykłą. Oto „jeszcze mnisi w Prowansji nie skończyli postu, a już matka te Polisce cieszyła się i poczęcia syna. Jeszcze postowie stamtąd nie odeszli, a już mnisi przepowiadali, że pani ich właśnie poczęła”. W ten sposób św. Idzi „zachował dziecko ze złości”, a dał książętom polskim dziecko „żywe z matki żywota”. Wiara w cudowność urodzenia przesłała również na Bolesława Krzywoustego, który pamiętał stale o św. Idzim, fundował kościoły pod jego wezwaniem w kraju, czynił liczne nadania dla tych świątyni czy na rzecz podobnych klasztorów, co w Prowansji, a do jednego z nich na Węgrzech, odbył nawet w 1113 r. pielgrzymkę; nie zapominał, rzecz jasna, o opactwie prowansalskim, dokąd wysyłał kosztowne dary dziękczynne.

Podając interesujące szczegóły przyjsięcia na świat Bolesława Krzywoustego najstarszy kronikarz polski, nie wyjaśnił jednak powodu owego szczególnego oczekiwania na męskiego potomka na polskim dworze książęcym. Władysław Herman posiadał przecież syna Zbigniewa, którego mógł traktować, jako swojego następcę. Przywiązywanie tak ogromnego znaczenia do urodzenia następnego potomka męskiego może budzić zatem uzasadnione zdziwienie. Wyświetlenie motywów owego nerwowego a nawet katastroficznego traktowania trwającej ponad miarę czasowo sterylności księżnej, leży nie tylko w konstelacji politycznej, powstałej dzięki małżeństwu Hermana z Judytą czeską, które zostało uznane za pierwszy ważny pod względem kanonicznym związek księcia, lecz także w fakcie żyjącego na Węgrzech dorastającego syna wygnanego króla, Mieszka Bolesławowicza. On posiadał bowiem naturalne prawo do tronu w Polsce, którego nikt nie mógł kwestionować, a zwłaszcza Zbigniew, pochodzący z myśli prawa kanonicznego ze związku pozamałżeńskiego. Trudno też było liczyć na respektowanie praw Zbigniewa do następstwa po ojcu przez przychylne Mieszkowski Bolesławowicowi królestwo węgierskie, a także — popierające rządy Hermana w Polsce i spokrewnione z nim zresztą kolejnymi małżeństwami — dwory króla czeskiego i cesarza niemieckiego.

Przyjsięcie na świat Bolesława Krzywoustego w dniu 20 sierpnia 1085 r. miało uocnić pozycję Hermana na przyszłość, rozszerzając prawo dziedziczenia tronu na drugiego jego syna. Niezbyt odległa przyszłość miała pokazać, że konkurentem Krzywoustego do rządów w kraju po śmierci ojca nie mógł być Mieszko Bolesławowicz, którego Herman przywołał w 1086 r. do kraju. Usunęła go bowiem ze świata w 1099 r. reka skrytobójcy, w czasie gdy osiągnął wiek męski i ożenił się. Tragedii dał wyraz kronikarz Gall, no-

(CIAĞ DALSZY NA STR. 4)



„Czasem cię cięży bardziej niż ciato, kroki przypominają żołnierza o kulach, podnoszę rękę na znak, przyspieszam puls, jakby zraniony pustką. Czasem zmieniam się w ślepego, by na nowo odzyskać widzenie”.  
Nikos Chadzinikolau, wiersz z tomu „Exodus”

W ateńskim Muzeum Bizantyjskim wisi przedziwna ikona. Święty w bogato zdobionych butach i takimż odzieniu, w czerwonym płaszczu na ramionach, z krzyżem greckim w prawej dłoni i z aureolą wokół głowy. Jest to głowa psa! Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, wyjąwszy egipskie wizerunki Anubisa. W podpisie: Święty Krzysztof.

Święty Krzysztof — męczennik zasieczony metalowymi różgami i spalony za cesarza Decjusza, w roku 250 lub 251. Był olbrzymim męczennikiem (podania mówią, że miał cztery metry wzrostu). Według legendy ukazał mu się Chrystus pod postacią dziecka i kazał się przenieść przez rzekę. Ciężar niesionego wznosił z każdym krokiem i w końcu stał się tak wielki, że na środku rzeki niosący osunął się w nurt. Wówczas Chrystus ochrzcił go imieniem Christophoros, co oznacza: Niosący Chrystusa.

Od VI wieku zaczęto budować kościoły i klasztory pod wezwaniem św. Krzysztofa i malować jego oblicze. Za Justyniana wizerunek jego znajdował się na górze Synaj. Przedstawiali go na swoich płótnach Van Eyck, Memling, Rubens, Witz i wielu innych, zazwyczaj kiedy niesie Jezusa. Więc dlaczego ma tutaj głowę psa?

Miałem pod ręką znakomity francuski przewodnik po Grecji pióra Louisa Douceta. Rozdziałek o sztuce bizantyjskiej w tym kraju. Jest! Jedno zdanie: „Zagadkowa ikona pośród innych”.

Nie miałem wszakże głowy wówczas do roz-wyzywania zagadki psiego łba na bizantyjskim malowidzie i zapomniałem o nim. Ale ono nie zapomniało o mnie. Powróciło w sercu Grecji, w jednej z najpiękniejszych scenarii, jakich — zakosztowałem w swym życiu, wraz z opowieścią o śródziemnomorskiej zemście. Dopiero wtedy zacząłem szukać, prosząc św. Krzysztofa o wsparcie, bo on jest patronem podróżników, poszukiwaczy ukrytych skarbów i tropicieli tajemnic. Ruszyłem tropem „vendetty”, która dojrze-wa tylko pod słońcem Północy.

Południowe krańce Europy i północne Afryki. Grecja, Italia, Sycylia, Tunis, Maroko, Algieria. Setki małych wysp jak motyle rozpięte na poduszce Mediterranean. Białe kolumny greckich świątyni, strzaskane tympanony, reliefy antycznych bożków z twarzami wykrzywionymi w me-cie. Mozaiki-rozmodzone księgi przeszłości, smutne plamy i spalony piach pustyni. Widome karawany i białe burnusy Beduinów. Stada owiec na zielonych przelęczach i pasterskie pieśni, całują-ce ucho nieszczotliwie jak usta zasypiającej kochanki. Skąły — miłośnice wiatru, który przy-bywa od morza i tańczy na zboczach gór niby szalony pielgrzym. Kobiety, młode, o oliwkowy policzkach, z włosami jak noc bez gwiazd, z oczami, w których utoniesz. Staruszek srebrno-pomarszczone maski wszechwiedzy, zmęczone droga, w chustkach czarnych jak włosy, które były, kiedy była młodość. Siedza na prochach domów wpatrzona w wieczność, która się zaczy-na tam, gdzie się gubi perspektywa ulicy.

Uliczka w Kasbie przebiega stado zdziaczalych psów. Setki ich zostawili Francuzi opuszczając Algierie. Gdy odezwiiesz się głośno po francusku, otaczają cię zwartym kółem i patrzą w twarz. Z ich oczu po pyskach spływają łzy. Nikt ich nie pomści, gdyż „vendetta”, która jest pulsem tych krain, wyrównuje tylko ludzkie krzywdy.

„Vendetta” to wyraz włoski, pochodzący od łacińskiego „vincta” (odwet). Rośnie w każdym z krajów otaczających Morze Śródziemne, choć w każdym inaczej się nazywa. Być może jej istota jest do pojęcia nie tylko dla urodzonych na tej ziemi, lecz tylko dla nich jest czymś tak naturalnym, jak wschód i zachód słońca i wszystko, co wyszło się z mlekiem matki.

Istota „vendetty” nie jest gniew, ani czyn, ani ból, ani ofiara, ani przdana krew. Jest nią ciągłość, łańcuchowa kontynuacja, wieczne rucho-me schody, z których nie można się cofnąć i których nie sposób zatrzymać. Tak jak istota księgi filozoficznej nie jest barwna inkrustacja okładki i szlachetny pergamin, który kartkuje-my, lecz zawarta w niej mądrość; i jak istota świecy nie jest kształt, kolor i stapiający się wosk, lecz światło kładące mrok; i jak istota skrzypiec nie są struny, rodzaj drzewa, ani nawet broda Cygana przytulona do instrumentu, lecz melodia, która kroi serce.

„Vendetta” stapa swoją drogą miarową i nie-ublagania. Przeszkody jakie pojawiają się na drodze, mogą opóźnić jej marsz, ale nie mogą jej zatrzymać, gdyż nie sam szlak i jego kształt, lecz ruch jest istota „vendetty”. Nieublagana droga krzyżowa wokół kaplic odvetu, w której stoją posągi jej bożka — posepnego geniu-sza fatalizmu.

„Vendetta” jest jak karawana. „Istota kara-wana objawia się w marszu — pisał Saint-Expery w „Cytadeli”. — Jeśli przepaść zagrozi jej drogę, okłada przepaść; gdy wznosi się na drodze skała, wymija ją; gdy piasek staje się zbyt grząski, szuka gdzie indziej tward-zego gruntu, ale widać podejmuje poprzedni kierunek. Zdarza się, że umrze przewodnik. Otaczają go, grabież w piasku. Naradzają się. A potem kto inny obejmuje przewodnictwo. I raz

jeszcze podejmują kurs na tę samą gwiazdę. Bo karawana zdążyła niezawodnie w kierunku, który nad nią panuje...”

Nad „vendetta” panuje tradycja zakodowana we krwi, a więc zabójstwo nie może tu wywołać szoku — szokiem byłoby zamordowanie tradycji. Gwałtowność samej egzekucji nie zmienia faktu, że podczas wędrówki ku spełnieniu jest „vendetta” korowodem zimnym i opanowanym jak wpatrzona przed siebie oczy wielbłądów przyzwyczajonych do szlaku i to właśnie różni ją, zemstę śródziemnomorską, zemstę południow-ca, od jednostkowej, improwizowanej wybu-chem nienawiści zemsty człowieka Północy.

„Vendetta” dojrzewa w ciszy, jak natura. Natura przeciw także jest okrutna — wszyscy po-żerają wszystkich — lecz jej istotą jest powolny rytm biologii i majestatyczny spokój. Tak właśnie istota „vendetty” wyraża się nie w cie-sie nożem lub w naciśnięciu spustu, lecz w konieczności dokonania, w dążeniu do niego, w świadomości nieodwołalnego na kształt nieodwo-łanych praw natury. Boga się nie to nie miecza.

Oto patrzę w twój śniadą twarz człowieka tego świata. Czy to na wybrzeżu Bałkanów, czy na Korsyce, czy w małym rybackim porcie Tu-nisu — zaczyna się zawsze tak samo, całkiem zwyczajnie. Wczoraj, jutro, przed wojną, przed stu laty — zabił ci ojca lub brata, uwiódł siostrę lub córkę, obraził, okradł lub uderzył, nie-ważne. Zabiles go. I już wiesz, że gdy podrzy-na-

losowski chór ofiarnie popychających Orestesa do zemsty za śmierć ojca, a ta pieśń będzie dzia-łać jak palone zioła, gryząc oczy dymem i są-

### WALDEMAR ŁYSIAK



ROZPOCZYNAJMY Druk Jednego z PIĘCIU ROZDZIAŁÓW SPECJALNIE WYBRANYCH DLA „GAZETY” PRZEZ WALDE-MARA ŁYSIAKA Z JEGO NAJNOWSZEJ KSIĄŻKI „MW”, PRZYGOTOWANEJ W KRAKOWSKIM KAW.

Pojedynek Maceira'a z psem Aubry de Montargisa odbył się w roku 1371. Pies uniknął ciós-ów, skoczył Maceira'owi do gardła, powalił go i wygrał. Była to piękna zemsta, ale zemsta za krzywdę człowieka. Psa się nie mści i nie pomści go nikt, jeśli nie uczyni tego sam, jeśli nie zamieni się w widmo, które spada nocą na krzy-wdziela i rozdziera mu gardło aż do wnętrza pługawej duszy. Podczas Wojny Trzydziestolet-niej, kiedy psy w Niemczech atakowały ludzi, wiesniacy uważali, że są to mściciele i zaliczyli je do dopustów bożych zapowiadanych w Biblii. Przed laty, idąc tropem największego szpiega wszechczasów, napoleońskiego „Agenta nr 1”, Alzateczyka Karola Schulmeistera (jego życiorys przedstawiłem w „Empirowym Pasjanisie”), który w Wiedniu pełnił przez pewien czas funkcję szefa francuskiej policji okupacyjnej — odnalaz-łem w zakurzonych papierach zjawę psa-mścici-ela.

Działo się to w roku 1805, kiedy Wielka Armia Bonapartego skatowała Rosjan i Austriaków pod Austerlitz i zajęła Wiedeń. Był grudzień. Nocami uprzejmie wiedenki grały dzielnych chłop-ców znaną Sekwany, dniami rozgrzewano się win-em i figlarz. Jeden z nich polegał na tym, że do centralnego kanału wrzucano bezdomnego psa. Nieszczęsny zwierzek nie utonął, jego szcze-kanie dudniło w podziemnym lochu i było się z czego śmiać.

W początkach roku 1806 Francuzi opuścili sto-

kolak. W listopadzie mordy ustaly i sprawa ucihła sama lub została zatuzowana.

Zbyt dobrze znałem kulisy podziemnych gier wywiadów i tajnych przysiężeń terrorystycz-nych owej doby, bym miał uwierzyć w wilko-laka. Przekazy o wilkołakach posiadają prawie wszystkie ludy europejskie. Na Borneo istnieć miało miasto Kabutloa, którego każdy mieszka-niec posiadał zdolność zamieniania się w wilka. To samo pisze Herodot o żyjącym na Rusi lu-dzie Nieurów. Petroniusz przytacza opowiadanie Nicerosa, który odkrył w jednym ze swych znaj-omych wilkołaka. W skandynewskich i niemiec-kich sagach roi się o rycerzy-wilkołaków. W Hiszpanii wilkołactwem miała się parać przez wieki szlachetna rodzina Ossirensów, a w Pol-sce Łaskich z Łęczyckiego. We Francji „loupparou” jest do dzisiaj postrachem ludności wiejs-kiej. Tylko że wilkołak, to nie to samo, co pies z ludzkim tułowiem. W Wiedniu roku 1809 albo mordowano w ramach porachunków wewnętrz-nych (kontrywydad francuski przeprowadzał tam wówczas tajną, niezwykle krwawą operację „oczyszczającą” — likwidację wewnątrzarmijnej konspiracji Filadelfów), albo zwręczyście miano do czynienia z podziemia działalności anty-francuskiej (masoni — antybonapartysci mieli dużo wyobraźni), lecz nie z wilkołakami, gdyż ten nigdy nie operuje w mieście. Co innego człowiek-pies, a wiedeńscy szepiali, że ginał żołnierz z oddziału, który przed trzema laty zabawił się okrutnie z psem. Lecz ja wolałem wierzyć w mordy polityczne lub armie „reglaments des compes” (wyrównywanie rachun-ków), bo tak kaze racjonalizm.

W jakimś czasie później, w roku 1973, pojecha-łem do Grecji i tam, w Atenach, ujrzałem św. Krzysztofa z głową psa. Z Aten przejechałem do Saloniki i stąd rozpocząłem długą wędrów-kę na południowy-zachód, do Janiny, gdzie ne-cił mnie złowrogie cienie Alegospasy. Gdzieś na połowie drogi natknąłem się na arcydzieło natu-ry, o którym widziałem, że jest piękne, ale że przyciemnia najbardziej fantastyczne opisy z bajek — tego nie mogłem wiedzieć. Gdyż aby to wiedzieć, trzeba tego dotknąć.

W północno-zachodniej Tessalii, tam gdzie rzeka Pinios wlewa się w wąskie gardło skalnego górn Pindus, rozciąga się zielona dolina. Z jej dna wyrasta las przedziwnych skał o najdziwniejszych wertykalnych kształtach — gi-gantyczne, odizolowane od siebie paluchy, ko-lumny, maczugi. Te naturalne „drapacze chmur” to Meteory. Ich ściany pełne są pieczar i otworów podobnych oknom lub tajemniczym bramom, ich podniebne szczyty zwieńczone są czaoami średniowiecznych klasztorów, z któ-rych cztery największe to Wielki Meteoron (co znaczy: Powietrzny, stąd nazwa tych chmu-ryk), Varlaam, Świętej Trójcy i Świętego Ste-fana.

Mówi się: Zobaczycy Neapol i umrzec, po włosku: „vedere Napoli e morire”. Kompletna bzdura, bo po pierwsze Neapol nie taki znowu zachwycający, a ponadto dawniej mówiło się: „vedere Napoli e morire” myśląc o podniepoli-tańskiej wiosce Morire lub Murire, co potem przekrecono w turystycznej wieży Babel. Ale zobaczycy Meteory i umrzec, to bardziej bliskie prawdy, gdyż niewiele jest na świecie widow-isk natury dorównujących temu fenomenowi krajobrazowo — architektonicznemu, takich wstrząsających hymnów o pięknie globu.

Przez długie wieki wędowano do klasztorów gniazd... w ściechach. Do dzisiaj zachowały się na wpol spróchniałe kolowroty, na które nawia-łano sznur obciążony siatką z człowiekiem. Po sto i więcej metrów wzwyz. Potem wykuto w skałach ścieżki i strome schody na skrecenie karku. Dla turystów i turystek, one jednak chcą wejść do monasterów muszą wdziewać w przedświątecznych długie siermięgi suknie, chyba że same noszą spódnice kryjące kostki, co jest dzisiaj równie częste jak noszenie cnoty po u-kończeniu osiemnastego roku życia.

Wewnątrz błogi smutek podniebnej ciszy, bi-zańskie ikony na ścianach, ostre światłocień na dziedzińcach, chłód i przesątki kontem-placyj gazy. Nieliczni mnisi snują się bez-zesłanie korzystarni, niczym czarne cienie. Jeden nagle staje przede mną z koszem płaskim jak półmisek, pełnym białych kamyków, i czesuje nimi. Pamiatki? Patrze nań zdziwiony. Nalega gestem wyciągniętych rąk, leciez więc. Są lekkie. Chce włożyć do kieszeni, biorę on da-je mi znak, bym włożył do ust. Nie rozumiem go i naraz, odruchowo, pytam: — Do You speak english?

Urodziłem się w czepku. On urodził się na Kefalonii, największej z wysp Jonickich, i w je-go domu ukrywał się przed wyzwoleniem bry-tyjski oficer. Te „kamiki” to spartywanne bia-ły naloform bryki stężonego miodu. Rozma-ny o bizantyjskich malowidłach, o Leonie Izauryku i jego następcach obrazoburcach, którzy tyle ikon oddali na pastwę płomieni, wkładając w ten sam ogień ręce nieposłusz-nych malarzy. Naraz przypominam sobie i py-tam o św. Krzysztofa z głową psa. On mówi: że takich malowideł jest więcej i że ateńskie jest najpiękniejsze, i że kiedy on myśli o nim, to kojarzy je z bardzo młodą kefaloską legen-dą o chłopcu z wyspy. Będzie więc prosił go o nią i zaślucham się tak żarliwie, jakbym to wszystko widział i przeżył sam.

(d.c.n.)

„Twoją krew, ojciec naszym chustę i złość je na oczy, gdyby zechciało mi się śmiać.”



Wg Hieronima Buzha Michał Anioła z oryginału z muzeum ateńskiego

les gardło, krew tamtego była twoją krwią, no-żem podpisałeś na jego szyi własny wyrok. Wiesz, że tyżdzie. Jego brat, jego syn lub kuzyn, pojutrze, za przysię, za rok. I odbiora ci życie.

A ty nie uciekniesz za morze. Mogibys, lecz to jest twój kraj, twoja ziemia, twój dom, twoje oliwki w ogrodzie, kozy na zboczach, twoja żona gasząca światło przed wejściem do łóżka, lub kochanka, córka sąsiada, trzwożliwa w twoich ra-mionach, gdy chowacie się przed gwiazdami, więc gdzie miałbys uciekać z tego miejsca, w którym kwitną takie cuda, wszystkie twoje? Szkoda ci promieni słońca, zapachu krzewów i smaku czerwonego wina. Nie uciekasz, gdyż jak Chrystus znasz swój koniec, jesteś architek-tem swego losu, i losu tego, który ci zabije, i losu tego, który się pomści, i losu tego, który zabije mściciela, i wszystkich następnych kamie-ni tej budowlanej aż po szczyt.

Ma ona charakter świątyni szatana, w której wasze kobiety — niczym Erynie (boginie zemsty) — strzegą starodawnych praw, w myśl których przebaczenie jest słabością i hańbą. Będą dawać waszym synom waszą broń do ucałowania. Będą odprawiać nad waszymi truchłami egzorcyzmy pełne zaklęć w oparach nieprzebaczeń. Będą za-nosić na Olimp zemsty mściciew śpiewy jak na Sycylii, gdzie lud zawodzi swoim przedziwnym podobnym do włoskiego językiem:

„Di vostru sangue, o vabre Boglu tenghiem un mandile Lu mi vogniu mette a collu Quandu avra chiu ozu di ride”

Śpiewając — będą przemieniać się w sokoły-

cząc nieublaganie w pierś syna całującego ten sam nóż...

Tyle jest tych świątyni, ile wysp, ile portów, ile białych domów na wybrzeżach Mediterranean, ale ja mam co innego na myśli. Psy — gdzie psy mają ołtarze zemsty? Znam jeden, na którym widnieje średniowieczne malowidło, w starym zanku, w pobliżu miasteczka Montargisa we Francji. Malowidło przedstawia pojedynek między uzbrojonym człowiekiem z tarczą a psem. Ten człowiek to dworzanin króla Karola V, nie-jaki Maceira, który z zazdrości zamordował pod-stępnie faworyta monarchy, pana Aubry de Montargisa. Wierny pies Montargisa rozpoznał mordercę w tłumie królewskich łuczników i rzucił się na niego, lecz Maceira wyparł się zbrod-ni. Wówczas Karol V zarządził „pojedynek przed Sądem Bożym”.

Pojedynek przed Sądem Bożym był w średnio-wieczu prawnym sposobem rozstrzygnięcia sporów w sytuacji, gdy nie było dowodów i nie można było dzięki nim dojść prawdy. W pozostałym ma-nuskrypcie prawniczym czytamy: „Ustanawia się to prawo dlatego, że czego ludzie nie widzą i nie wiedza, Bóg Wszchemogący widzi i wie dobrze. Dlatego należy mu zaufać i pozwoić na walkę, która on rozstrzygnie wedle prawa i słuszności”. W pojedynkach takich braci udział głównie mę-żczyźni. Z rzadka dopuszczano do pojedynków męzczyzn z kobietami, które — w dążności serca swego miały odwagę zażądać walki”. Jedyny przypadek, kiedy do „pojedynku przed Sądem Bożym” dopuszczono psa, miał miejsce właśnie za Karola V, co pozwala zgodzić się z przydom-kiem Mądry, jaki noszono temu władcy.

lice Habsburgów, a pies przyzywał się do kło-aki i stał się panem tego królestwa ciemności i smrodu. Najprawdopodobniej żywił się swymi poddanymi — szczurami. Widywano go rzadko, kiedy przypadkowo zbliżył się do jakiegoś zakratowanego wylotu na świat. Osłepiony blas-kiem dnia, którego się odczyli, uciekał z wyciem w mroczne labirynty swych posiadłości i głos jego gasł w oddali upiornym, coraz cichszym echem.

W roku 1809 nie widywano go już i nie slyszano, pomyślano więc, że zdechł lub został zagryziony przez wujujące z nim szcury. W maju tego roku Francuzi ponownie opanowali Wiedeń i siedzieli w nim przez kilka miesięcy. Pierw-szego trupa z rozszarpanym gardłem znalazłono w końcu maja. Potem znajdowano coraz więcej francuskich żołnierzy w podartych mundurach, że zmasakrowanymi szczyami, z obtędnym prze-rzeniem w martwych oczach. W czerwcu trzech, w lipcu czterech, w sierpniu, wrześniu i paź-dzierniku łącznie jedenastu. Zawsze wczesnym ranem, na jednej z bocznych ulic, w zaułku lub chaszczach przedmieścia. Francuskie dowództwo komendatury placu było przekonane, że mordów dokonuje podziemna organizacja, coś w rodzaju pruskiego Tugendbundu, zwłaszcza że właśnie wtedy austriacki student Staps został ujęty podczas zamachu nożowniczego na cesarza. Żoł-nierz, którzy kilkakrotnie biegli w kierunku wiojących o pomoc i którzy strzelali do ucieka-jącego cienia, utrwalił, że zbrodniarzem jest człowiek o twarzy wilka. W sztabie zandarnierii Wielkiej Armii wysunięto hipotezę, że skryto-bójcy zakładają sobie na twarze odpowiednie maski, lecz widać dalej twierdziło, że to wia-

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 3)

tuja, że otrucia królewicza dokonali w obawie przed zemstą ci sami ludzie, którzy usunęli przed dziesięciu laty z kraju jego ojca. Nietrudno wskazać zatem na Sieciecha i jego otoczenie, obawiające się represji od dobrze przgotowanego do rządów królewicza i cieszącego się ogólną sympatią Polaków. Udzielał Hermana w zbrodni nie da się powziąć, doszło do niej z pewnością poza jego plecami. Ale cokolwiek o tym sądzić, zauważyć trzeba, że usunie-to z drogi Bolesława Krzywoustego do rządów w państwie przeszkoda najpoważniejsza. Aspiracji do tronu ze strony przebywającego w szkole katedralnej i przeznaczanego do godności duchownych Zbigniewa, nie brano poważnie w rachubę.

W kronice Galla spotykamy nieco informacji o latach chłopięcych Bolesława. Wynika z nich, że wychowanie rycerskie odebrał starannie, a kierował nim przez wiele lat wszechwładny wojewoda Sieciech, dostrzegając w kształtowaniu poglądów chłopca z pewnością swoją własny interes. U boku Sieciecha wziął Bolesław udział w wyprawie na Morawy, jako siedmioletni chłopiec sprawował pod jego kuratelą rządu w wydziałach mu przez ojca w 1093 r. Kłodzku, z którego złożył homagium lenne wujowi, Brzeźystawowi czeskiemu. Jeszcze w 1097 r., kiedy Bolesław osiągnął już wiek sprawny oraz całą dzielnicę Śląską, wznosił pod nadzorem ochmistrza-pedagoga, którym był komes wrocławski Wojław, krewny Sieciecha. Po wygnaniu potężnego wojewody z kraju wychowanie dorastającego Bolesława powierzono Skarbimirowi, reprezentantowi potężnego rodu Andanów. Pod okiem wymienionych wychowawców organizował i odbywał trudną sztukę oblegania i zdobywania grodów, poznawał tajniki dowodzenia. W zajęciach młodego księcia nie brakowało też polowań, w tym niebezpiecznych łowów na grubego zwierza, udziału w turniejach i nauki obyczajów rycerskich. Została uformowana osobowość rycerza-władcy, który już w latach młodzieńczych zadziwiał wszystkich odwagą i zdecydowaniem, a niebawem również talentem militarnym. Nie da się zaprzeczyć także, iż wychowanie rycerskie Bolesława górowało wyraźnie nad jego wykształceniem intelektualnym (choćż naucono go z pewnością mowy niemieckiej i ruskiej a także podstaw języka łacińskiego), a bezwzględność nad wyrozumieniem i umiarem.

Stanowił pod tym względem antytezę brata przyrodniego, Zbigniewa, człowieka wykształconego (poza edukacją dworską) w szkole katedralnej, mniej zdecydowanego w działaniu i bardziej ludzkiego. Sąd taki wypadnie podtrzymał nawet w obliczu prowadzonej przez Zbigniewa walki o prawa dziedziczne do tronu i pozycji zwierzchnią, do czego

uprawniało go starszeństwo i poparcie niemałej liczby rodów rycerskich.

Współpraca między braćmi trwała do kresu panoszenia się w kraju Sieciecha, do którego zaufanie bezgraniczne żywił Władysław Herman, w związku z czym wczesną przez młodych książąt wojny domowe obracały się w konsekwencji przeciw ich własnemu ojcu. Niezależnie od oceny pretensji odsunęto brutalnie z dworu książęcego i pozabawiono prawa dziedziczenia władzy w kraju starszego Zbigniewa, czy racji politycznych młodzieńczego Bolesława, nie były to działania budujące. Cokolwiek myśleć bowiem o udziale w nich obu synów Hermana, ich stosunek do całości księstwa, a także panującego w nim ojca, musi budzić uczucia dwuznaczne. Niepożądany owoc owych buntów

wewnętrznych, których faktycznymi sprawcami byli moiżni, był zawsze jeden: zanik spójności wewnętrznej państwa i osłabienie władzy centralnej. W pierwszej wojnie Zbigniewa, uwolnionego przez moźnych w 1093 r., z przymusowego pobytu w jednym z klasztorów saskich, siedmioletni Bolesław nie brał udziału, ale w wyniku klęski Sieciecha i Hermana, otrzymał w zarząd — jak już nadmieniliśmy — ziemię kłodzką. W następnym buncie przeciw ojcu i wszechwładnemu jego wojewodzie (1097) występował z bratem solidarnie, co przyniosło mu dzielnicę małopolską ze Śląskiem i ziemię lubuską, podczas gdy Zbigniew otrzymał Wielkopolskę, Kujawy, ziemię sieradzko-łęczyską wraz z widokami na zatrzymane przez ojca Mazowsze i grody w dzielnicy juniorskiej, tj. Wrocław, Kraków i Sandomierz. Działając dalej wspólnie doprowadził bracia w 1099 r. do wygnania Sieciecha z kraju.

Śmierć Władysława Hermana (4 czerwca 1102 r.), który nie wyznaczył następcę żadnego z synów, pozostawiła kraj podzielony pomiędzy Zbigniewa i Bolesława, za którymi opowiedziały się poszczególne rody możnowładcze. Walka między braćmi o stanowisko zwierzchnie rozgorzała niebawem po zgonie ich ojca, przy czym siły Zbigniewa były znacznie i rachuby na sukces wcale realne. Nowsze ba-

dania naukowe wskazują bowiem — wbrew sądom kronikarza Galla, który głosił zawsze chwałę Bolesława — że młodszy syn Hermana długo nie był w stanie narzucić swojej woli starszemu bratu. Wydaje się także, iż w latach 1102—1106 księciem zwierzchnim był właśnie Zbigniew, który zajął ojcowiskie Mazowsze, a występujący przeciwko niemu Bolesław odgrywał rolę wicherzyciela i buntownika. Przez wiele lat manipulował Zbigniew zręcznie siłami możnowładztwa i poparciem sąsiadów, zmuszając Krzywoustego do defensywy. Kością niezgody między synami Władysława Hermana była odmienna koncepcja polityczna rozwiązania sprawy pomorskiej. Rycerski Bolesław był zwolennikiem podboju Pomorza, podczas gdy jego brat skłaniał się do sojuszu z tą dzielnicą. Moment krytyczny przy-

Trudno inaczej zrozumieć ponowny akt agresji Bolesława przeciwko Zbigniewowi, dokonany w kilka miesięcy po zwycięstwie nad nim. Wykorzystując fakt niedostarczenia przez Zbigniewa posiłków przeciwko Pomorzanom oraz nieuzbrojenie przezeń mało znaczącego gródka na pograniczu mazowiecko-małopolskim (zdaje się Kurawa) Bolesław zaatakował starszego brata przy pomocy sił ruskich i węgierskich. Zbigniew nie zdobył się na opór, jedynie garstka wierzniemu mu rycerstwa broniła się w którymś z niedużych grodków mazowieckich, ale jej postawa nie mogła niczego zmienić w losie zwyciężonego i spowiewanego księcia. Dokonał go przysięgą wyrok bantacji, przy czym celem jego wygnania było najpierw, jak się zdaje, Pomorze, później dopiero dwór króla mazowieckiego.

W 1108 r. Bolesław Krzywousty stał się władcą całej Polski, a będąca w jego rękach potęga militarna pozwoliła mu na kroki zaczepne w stosunku do pogranicznych plemion pruskich. Nie potrafił jednak powstrzymać na razie najazdów pomorskich, które sięgaly Małopolski. Musiał okupić też pomoc ruską i węgierską, a także neutralnego Świętopełka czeskiego, któremu przekazał czasowo gród raciborski. Cena za jedynowładztwo była wysoka, zwłaszcza, że należało się liczyć jeszcze z montowaną przez Zbigniewa interwencją obcą.

Energiczne działania wojenne na Pomorzu przyniosły rezultaty polownicze w 1107 r., kiedy Bolesław dobił się najpierw o gród białogrodzki, a później kotłobrzeci, w latach następnych zdołał książę polski narzucić swoją wolę grodom nad Notecią oraz wygrał 10 sierpnia 1109 r., ważną bitwę z Pomorzanami pod Nakłem i zdobył tę warownię.

Był to moment decydujący o dalszym powrocie księcia, gdyż Henryk V król niemiecki przekroczył w sierpniu tego roku Odrę i skierował swoją armię na Krosno Odrzańskie, gdzie oczekiwał posiłków czeskich. Rozpoczął się wielki najazd niemiecki na ziemie polskie, mający przywołać ich wzięcie do obowiązków lennych oraz zapewnić dzielnicę i współpracę do wygnania Zbigniewowi. Książę polski nie był w stanie przeciwstawić tej armadzie równych sił wojskowych, na szczęście zdołał przerzucić forsownym marszem swoje oddziały spod Nakła w rejon zachodniego pogranicza wielkopolsko-śląskiego. Armia interwencyjna skierowała się ku południowi i po niepomysłnych utarczках pod Bytomiem Odrzańskim, ruszyła 24 sierpnia pod Głogów, który — po przeprawieniu się przez Odrę — ścisnęła oblężeniem. (d.c.n.)

FELIKS KIRYK

Zbyt wielu krakowian idąc do sklepu w Ryńku Gł. 6 mówi „idę do Szarskiego”. Zbyt wielu tak mówi aby mogła pójść w niepamięć nazwa. Tradycja przechodzi z pokolenia na pokolenie, choć w witrynie sklepu nie ma szylku z nazwiskiem dawnych właścicieli. Kiedy w 1964 r. kończono remont sklepu, zaproponowano Stanisławowi Szarskiemu, aby nazwisko kupieckiej rodziny pozostało na szyldzie, tak jak „Wierzynek” lub „Hawelka”. Odmówił. To nie byłaby już ta sama firma, która tradycyjnie kojarzyła się z wielkim hurtowym handlem kawą i herbatą tak jak „Wedel” nie koja-

firm dostarczającą herbatę i kawę właścicielom sklepów w południowej i wschodniej części kraju. Sklep „kolonialny” był tylko dodatkiem tej działalności na wielką skalę. Handel herbatą stał na pierwszym miejscu, zaraz po niej w kolejności handlowała się kawa, która była znacznie tańsza (3—8 zł za kilogram) podczas gdy ceny herbaty wahały się w granicach 8—9 zł, ale za kilogram najdroższej placido się nawet 32 zł. Dostawy załatwiała firma za pośrednictwem zagranicznych maklerów, z których jeden mieszkał na Cejlonie, gdzie kupował herbatę na tamtejszych plantacjach. Korzystając z pośrednictwa innych sprowadzano kawę z Ameryki Środkowej i Południowej. Gromadzono ją w dwupiętrowym magazynie w podwórzu „Szarej kamienicy”, gdzie zresztą znajdowała się również palarnia kawy oraz pakownia,

lywały agresji u klientów. W takich warunkach handlowania nie mogło być przyjemnością dla kogoś, kto do tego zawodu trafił nie dlatego, że nie mógł się zaciepić gdzie indziej, ale dlatego, że usługa nie uznawano za czynność poniżającą. Gdy powiódł się, żeś pracował u Szarskiego czy u „Hawelki” to była wystarczająca rekomendacja. Gramatyka — właściciel sklepu kolonialnego na rogu Małego Ryńku i Siennej wywoził się ze „szkoly” Szarskiego, podobnie Olszowski na pl. Mariackim czy Kolasa, który założył sklep przy pl. Dominikańskim. Subiekt opuszczali sklep w „Szarej kamienicy”, gdy tylko zgromadzone oszczędności pozwalały im na samodzielność. Na ich miejsce przychodził inni. Niektórzy wzięli się z firmą na całe lata. Takim był Ludwik Brehmer, którego Stanisław Szarski przyjął jeszcze w u-

W kwietniu 1945 r. sklep Szarskich powrócił na swoje miejsce. Zaczynały się nowe czasy, ale żaden z braci nie przewidywał, że przyniosą one koniec firmie o tradycji odmierzonej dziesięcioleciaми. Nie dożył resztą obaj czasu, gdy nad firmą zbierały się chmury. Antoni Szarski zmarł w rok po wyzwoleniu w wieku 55 lat, Adam — starszy o sześć lat, przeżył brata o rok. Ich miejsca zajął jeden z trzech synów Adama — Jan oraz syn Antoniego — Stanisław, któremu wojna przeszkodziła w studiach handlowych, więc pracował w ojcowskiej firmie. Po wyzwoleniu obaj z Janem byli już prokurentami, inaczej mówiąc pełnomocnikami firmy, którzy mieli prawo podpisywać wszystkie czeki, załatwiać wszystkie sprawy z wyjątkiem sprzedaży firmy, do czego prawo miał jedynie pryncypał.

# Rzecz o kurtynie SIEMIRADZKIEGO

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

sujaco przedstawił scenę i najwybitniejszych ówczesnych aktorów: H. Modrzewską, A. Hoffmana, W. Rapackiego, a także samego autora konceptu, czyli siebie wraz ze Stanisławem Wyspiańskim. Z kolei Stanisław Wyspiański zaproponował projekt, który nazwał „Z moich fantazji”, z Wawelem, Wisłą i wdzieczną rusalką. Wawel był także głównym tematem projektu Tadeusza Rybakowskiego. Na tle zamku królewskiego, widniała postać kobiety — symbolizująca Polskę, obok orszak pisarzy i aktorów. Początkowo jury wyrażało wielkie zainteresowanie dla przedstawionych prac, ale nie było skore przyznać pierwszeństwa którejśkolwiek z nich. Prawdopodobnie kierowało się obawą przed powierzeniem pracy artystom, których nazwiska jeszcze nie były znane. Czas upływał bardzo szybko. Właściwego kandydata na wykonanie kurtyny nie było, aż... po długim namyśle, zdecydowano się na powierzenie tej pracy artyście plastykowi Henrykowi Siemiradzkiemu, który już w tym czasie należał do popularnych i cenionych malarzy. Zaproponowany przez Siemiradzkiego projekt kurtyny dalece odbiegał od poprzednich, przedstawianych przez jego młodszych kolegów. Co zatem wzbudziło zainteresowanie i przychylność jury? A może

sumienia i zemście. Scigają Morderstwo i Występną Miłość, która poimaga, obrońca tymem do widza, obejmuje Morderstwo. Siedzący przed nim Eros plaże nad białą urną. Ponad Widmem i Furją, od stóp Słinska wyrusza się postać Boga Zła — ciemna postać, z czerwonymi promieniami bijącymi od głowy. Symbole Dobra i Zła walczą o panowanie nad światem. Z prawej strony exedy Psyche uwalnia się z więzów zmysłowości, usiłując za Muzyką i Śpiewem wnieść się ku niebu. W głębi grono Młodzieży odczeka w tańcu posąg Terpsychoy.

Na dole kurtyny widnieje napis: H. Siemiradzki 1894. Patrząc na kurtyne

W tak żywej, niezniszczonej formie, przetrwała kurtyna aż do 1959 roku! W tym to czasie dokonano pierwszej konserwacji. Została zdjeta i w olbrzymiej hali rozciągnięta na odpowiednich stelażach, poddana konserwacji. Przyklejono wówczas 30 latek i oczyszczono lico obrazu. Od tego roku kurtyna nie była odnawiana, dopiero w roku ubiegłym, ale

czy doczeka następných pokoleń?

W 1982 roku kurtyna została znakomicie odnowiona — zapewnia dyrektor Teatru im. Juliusza Słowackiego, ZDZISŁAW LORENOWICZ, który wiele uwagi poświęcił w swoich pracach dziełu Siemiradzkiego. Tempo przy tej kolejnej odnowie kurtyny było zadumiewające. Tylko dwa miesiące: rozpoczęto prace pod koniec sierpnia 1982 roku, a zakończono już w pierwszych dniach września. Odnowienie kosztowało 2,5 miliona złotych. Wykonawca: Zakłady Artystyczne Związku Polskich Artystów Plastyków



## Walka Dobra ze Złem, Występną Miłość i Morderstwo.

Kiedy dokładnie przyjrzymy się kurtynie, widzimy na niej szereg postaci, symboli, scen tworzących pewną całość. Na jej środku starożytna exedra, o złotych ścianach, z mitologicznymi scenami. Całość utrzymana w kolorze kości słoniowej. W głębi exedy, na białym tronie siedzi piękny skrzydlaty młodzieniec — to Natychmiennie. Wyciągnięty przed siebie rękoma kojarzy Piękno i Prawdę, dwie śliczne kobiety. Jedną z nich odziana w turkusowy płaszcz, druga półnaga, w pasie przewieszona złotym sznureczkiem. Do Piękna przytulona jest Miłość z karminowym lukiem w ręce. Na zielonym kobiercu, u stóp tronu, siedzi Komedia. Jest nią młoda kobieta, trzymająca w prawej ręce rozemnianą męską maskę, Komedia z uśmiechem spogląda na Trefniasia, męczennik z czerwona białeńska czapkęczka na głowie. Obok Komedii stoi Tragedia. Załamując ręce, z przygnębieniem spogląda na niedole i zbrodnie, które się przed nią rozciągają. Dalej Widmo z ciemną twarzą i Furia z kłębówiskiem wężu na głowie. Te dwie postacie uosabiają wyrzuty

Siemiradzkiego. Jedni są zachwyceni, inni gania, a jeszcze inni twierdzą że była i jest mgłą tajemniczości, bo za nią ponoć dążyły się rzeczy niesamowite. Była nie tylko dziełem sztuki ale i zasłoną. Pełną tajemnic. Oddzielająca świat realny, świat widza od świata poezji i fantazji. A dążyły się ponoć za nią rzeczy niesamowite. Pierwsze ploteczki, intrzygi i zakulisowe skandaliki czasami przedostawały się przez nią i fruwały w miasto.

Jak odebrali ją ówczesni widzowie nowego teatru? Spójrzmy na kurtyne oczami dziennikarza, który w „Czasie” z 15 kwietnia 1894 roku, tak napisał: „...Drugi raz zobaczyłem kurtyne przy świetle elektrycznym, zawieszoną na miejscu przeznaczania, tak jak patrzeć będą na nią setki i tysiące widzów. Wrażenie było potężne. Jasność i pogoda obrazu, mimo potężnych strug elektrycznego światła, jakim uosobiona jest sala teatralna zmienia się, powioka raczej jakby mgłą tajemniczości osnuła, nowy urok przybył dziełu mistrza”. A więc światło elektryczne niby podniosło urok kurtyny, czyżby zatem jednak nie podobała się prasie?

— wywiązały się z tego zadania bardzo dobrze. Mamy więc pewność, iż kurtyna doczeka następných pokoleń. Malowidło było uszkodzone w wyniku mechanicznych uszkodzeń, zwłaszcza na jego dolnych brzegach, ponadto silnie zanieczyszczone z powodu nieodpowiedniego odkurzenia sceny i widowni. Uległy także zniszczeniu latek klejem stolarskim, żeby było młonie! W trakcie ostatniej konserwacji usunięto 33 latek, przyklejono aż 65 nowych. Oczywiście to tylko prace główne, wykonano poza tym szereg czynności koniecznych do zabezpieczenia kurtyny przed jej dalszym zniszczeniem. Następne gruntowne oczyszczenie kurtyny nie powinno być konieczne wcześniej jak za 10 lat.

Trudno wyobrazić sobie Teatr Słowackiego bez sławnej kurtyny. I może nie patrzmy na nią jak na dzieło mistrza Matejki czy inne wspaniałe obrazy, ale na pewne jest czymś bliskim dla krakowian, czymś na stałe związanym z tym przybytkiem Melpomeny.

IZABELA PIECZARA



# „SZARSKI i SYN”

zaczęły zatrudniając ok. 60 osób, chociaż ilość pakowarek zwiększała się, gdy zbliżyli się święta i wzrastał popyt na kawę i herbatę. Kiedy z Niemiec sprowadzili Szarscy maszyny do pakowania tzw. dekówek, na rynku pojawiły się czerwone torki z „Szarskiego z Wiednia”.

biegłym wieku jako chłopca na posyki, potem był przez długie lata subiektem i nawet wtedy, gdy przeszedł na emeryturę, przychodził do biura firmy aby pracować, gdyż — jak mówił — „bezcennyść go wykończy”. Miał już wtedy ponad 70 lat. Były to lata okupacji, sklep Szarskich usu-

Po wojnie firma była już kredytowana. Brali czeeki z Banku Handlowego, który miał zabezpieczenie wypłaty w budynku i towarach. Po trzech latach odmówiono im kredytowania. To czym zajmowała się firma „Szarski i Syn”, przejęły MHD i „Spolem”. Dla dużych firm prywatnych, zaczynały się coraz trudniejsze lata. Szarscy zaczęli handlować artykułami zastępczymi. Jeszcze mieli kontakty z firmą „Kirsch i Zebrowski” w Jastarni, skąd dostarczano do sklepu w Krakowie lososie i wędzone ryby. Trochę serów i bryndzy kupowali od górali, w lecie handlowali jarzynami. Jeszcze przychodzili produkty z Pudliszek, ale wkrótce państwowa wytwórnia koncentratów przestała realizować zamówienia prywatnych handlowców. Coraz trudniej było się zajmować handlem w ramach prywatnej inicjatywy. Kiedy w 1950 r. Szarscy zostali domiar, musieli zlikwidować interes. Spłacili dostawców i zaczęli szukać pomocy. Stanisław wyjechał z Krakowa. To samo uczynił Jan. Do handlu nie było po co wracać. Najmłodszy brat Stanisława Andrzej zajął się studiowaniem prawa, średni — Jacek — po skończeniu matematyki został z czasem profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kupiectwo stało się przeszłością w rodzinie.

Sklep w „Szarej kamienicy” po kilkuletnim remoncie nie był już tym samym sklepem. Wyposażenie, które przetrwało wojnę, aby wraz z firmą powrócił do Siennej na Rynek, przed remontem zdemontowano i wywieziono nie wiadomo gdzie. Trzeba było odtworzyć na nowo — i tak zrobiono. Powiększono lokal, ale kasa, która stała przy drzwiach wejściowych nie powróciła już na dawne miejsce. Przepadała tak samo jak sklepowe urządzenia...

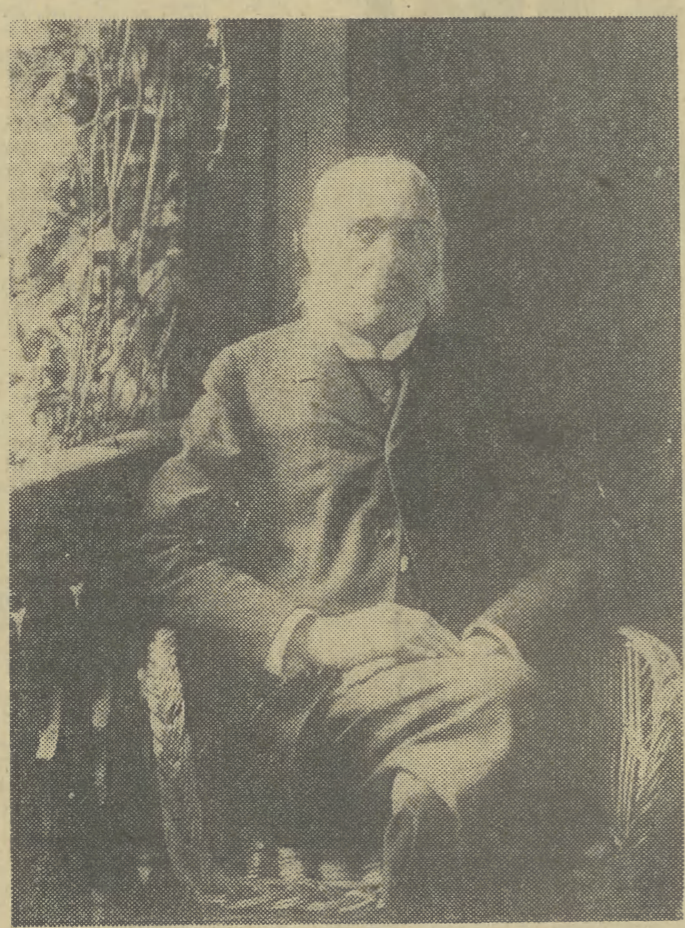
Ludzie mówią: idziemy kupować do „Szarskiego”, ale to są już tylko słowa. Sklep pozostał, jego wstrój upodobniono do wnętrza sklepu firmy „Szarski i Syn”, ale pozostało to już tylko podobieństwem sztucznym. Za sklepową ladą nie ma już żadnego z Szarskich. Ostatniego właściciela sklepu można spotkać tylko przy ul. Szewskiej. Za biurkiem. Prezesuje Zrzeszeniu Prywatnych Właścicieli Nieruchomości. JERZY PIEKARCZYK

rzy się nikomu z gastronomii lecz ze słodyczami. — Teraz jest kawa i herbata w sklepie, ale nie ma gwarancji, że to się utrzyma — twierdził wówczas Szarski i obserwując późniejsze losy sklepu w „Szarej kamienicy” trudno nie przyznać racji przecuciom przedstawiciela czwartego pokolenia kupieckiej rodziny. Pokolenia, które nie doczekało się następców za sklepową ladą.

W 1953 r. firma „Szarski i Syn” mogła obchodzić stulecie swego istnienia gdyby trzy lata wcześniej nie została doprowadzona do likwidacji.

Pozostawienie wówczas szylku niewiele by zmieniło. Co prawda goście zjeżdżający ze świata na uroczystości jubileuszowe 600-lecia UJ widzieliby sklep Szarskiego, ale to przecież nie byłby już ten sam sklep tak samo jak po Hawelce pozostała nazwa, lokal i niewiele więcej. Znak firmowy to tylko część tradycji. Tworzą ją właściciele i ich następcy. Kiedy zabraknie solidności, która się kryje za nazwą tej czy innej firmy, wszelkie powoływanie się na tradycje, nadrabianie nią własnej nadającej reputacji jest tylko upadającym cudzego dorobku. Dlatego właśnie Stanisław Szarski nie chciał, aby nad sklepem znów pojawiła się nazwa firmy, którą utworzył w 1853 r. jego pradziad, zresztą również Stanisław.

S to trzydziści lat temu nie była to jeszcze tak specjalistyczna firma jak w późniejszych latach. Sprzedawało się wszystko: artykuły spożywcze, gips i cegły. Interes zaczął się rozwijać dopiero, gdy do ojca dołączył syn Henryk. Od tego momentu zaczęli się specjalizować w handlu kawą i herbatą. Nie inaczej było również później, gdy będąc już w podeszłym wieku Henryk Szarski przekazał prowadzenie firmy najstarszemu z trójki swoich synów Adamowi, którego z czasem zaczął wspomagać najmłodszy z braci — Antoni. Bracia Szarscy nastawili się na handel hurtowy i w okresie międzywojennym byli jedną z czołowych



N/z: Stanisław Szarski — założyciel firmy.

Były to czasy, gdy obok „św. Wojciecha” fikakrzy czekali na pasażerów, a przekupki na Ryńku handlowały nie tylko kwiatami. Wejście do sklepu Szarskich znajdowało się tu gdzie obecnie, tylko w drugim pomieszczeniu, gdzie teraz ustawiają się w kolejce klienci po alkohol, znajdował się podczyny magazyn, a jeszcze dalej, w kanторze siedzieli pryncypalowie doglądający na bieżąco interesów. Cała firma zatrudniała wówczas około 80 osób, w tym jedenastu subiektyw obsługujących sklepową klientelę. Subiekt mieszkał na ostatnim piętrze kamienicy. To był męski zawód, ale też było w nim wybierać. Wybierało się najlepszych, zaś ci którym się udało zdobyć pracę pilnowali jej jak oka w głowie. Obecność pryncypała na zapleczu też wpływała na sposób obsługi. Pełne pólki nie wywo-

# Byłam u wróżki - Byłam

Terminy zarezerwowane do września, kalendarz wypełniony godzinami i nazwiskami. Do tej starej krakowskiej kamienicy, przychodzą kobiety ze wszystkich środowisk. Do mieszkanca prowadzi podwójne drzwi z wiszącego na wysokości trzeciego piętra długiego balkonu. Idę tu, by uzyskać odpowiedź na pytanie, co przyciąga kobiety, dlaczego czekają na wizytę kilka tygodni lub miesięcy, a potem mówią: — Jest rewelacyjna, to jasnowidzka!

Drzwi otwiera stara kobieta będąca gospodynią i przyjaciółką Marii. Uderza mnie fetor, robi mi się niedobrze. To koty. Jest ich tu dużo. Skaczą po sprzętach, piecach, urządzeniach gonitwy. Na ścianach pełno kocich wizerunków, wyciętych z kalendarzy, czasopism. Nie ma czym oddychać i przez moment mam ochotę natychmiast stąd wyjść.

Pani doktor siedzi już tak długo, słyszę głos kobiety, która mnie tu wpuściła, czy powinna wyjść. Rzeczywiście zaraz wychodzi, a do „źródła niewiadomego” wchodzi następną klientką. Ta, nazwana panią doktor nie daje się wciągnąć do rozmowy.

— Proszę pani — mówi, na razie nie mamy płaszczyzny porozumienia, trzeba tam pójść, przeżyć, sprawdzić na sobie, potem porozmawiamy. Wymaga 300 zł i prosi gosposię o następny termin.

Sama jest Marią zafascynowana, dziś przyszła z kwiatami, nie dlatego, że prognozy się sprawdziły, choć rzeczywiście wszystko zmierzca w dobrym kierunku, ale o tak, z serdeczności. Maria po czterech seansach stała się jej bliska. Kobieta jest rozmowna, choć nie chce zdradzić swojego zawodu. — Środowisko inteligentkie, to pani powinno wystarczyć — mówi.

Przyszła tu pierwszy raz w bardzo złym nastroju. Na sprawy rozwodowe, kłopoty rodzinne nalożyła się poważna choroba. Nie wiedziała jak to wytrzymać. Teraz wszystko jest łatwiejsze. Dzięki wizytom tutaj wraca do równowagi. Wie, że maź wróci, a ta młoda kobieta to tylko opowiad. Wie, że poważna rzekomo choroba jest do wyleczenia. Kłopoty rodzinne przynajmniej ze spokojem, bo wie, że miną. — Mam dobrego adwokata, jestem pod opieką najlepszego lekarza i najlepszej wróżki — cóż mi więcej do szczęścia potrzeba? Na moje pytanie, czy gdyby można było pójść do dobrego psychoanalityka skorzystałaby z tej możliwości, odpowiada, że owszem, pod warunkiem, że byłby taki jak Maria.

W tym pokoju mniej czuć koci zapachy, choć jest ich tu kilka. Pyta siedzi w łóżku, wsparta o poduszki, na kolodrze przytwarzającej jej nogi płytka służąca do rozkładania kart, obok śpiący kot, drugiego pięści upięsienionymi palcami. Na przepięknie dłoni bransoletki. Czarne ubarwione włosy i przenikliwie patrzące oczy. — Wita mnie z uśmiechem wyciągając dłoń.

Można powiedzieć, że rodzina Zaitzów miała pomyslny rok 1979. W maju pan Emil ujawnił miastu i światu skarb księcia Wiślan w postaci placidel-grzywnicy vel siekierki przy Kanoniczej 13, a w czerwcu tego roku pani Marta udostępniła zwiedzającym w macierzystym Muzeum Archeologicznym Krakowa pierwszą dokumentację z prawdziwego zdarzenia, a zatem nowego typu — malowideł ściennych z motywami sztuki rusko-bizantyjskiej z Kaplicy Świętokrzyskiej wawelskiej katedry. Owe kalki — przerysy, autorstwa Ludwika Lępkowskiego pochodzą z 1869". Trzeba jednak tu wspomnieć, że Marta Zaitz wyprzedziła swego męża o ładnych kilka miesięcy, które poświęciła porządkowaniu swego odkrycia i badaniom, i tylko szczęśliwy dla Emila Zaitza przypadek zdarzył, że kolejność ogłoszenia odkryć była inna.

Było to tak: MARTA ZAITZ, jako archeolog rozpoczęła pracę w krakowskim Muzeum Archeologicznym w 1973 w dziale dokumentacji archiwalnej. Odbiła specjalny kurs w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Krakowie, aby przysposobić się do nowej specjalności i przystąpiła do porządkowania archiwum muzealnego. Najpierw dokonała prostego podziału na akta dotyczące archeologii i inne, które wykraczały poza te dziedziny. Przez pięć lat cierpliwie, jak to kobiety potrafią, zajmowała się klasyfikacją, ewidencjonowaniem i porządkowaniem akt i dokumentacji typu archeologicznego. Już w pierwszym roku tej pracy milimetry dzieliły ją od odkrycia. Wśród setek innych materiałów dostrzegła rulony kolorowych kalki zawinięte w papier pakunkowy z napisem „Malarstwo sakralne”. Ten napis ją zmylił i owe rulony przelozyla do „zbiorów innych”.

Do tych rulonów wróciłam z końcem roku 1977, a może nawet wiosną 1978, tuż przed rozmową z dyrektorem Kazimierzem Radwańskim na temat dalszych losów tzw. archiwaliów nie-archeologicznych. Na moją propozycję, żeby te archiwalia przekazać zainteresowanym instytucjom, dyrektor wyraził zgodę pod warunkiem, że przesyłane archiwalia zaprezentujemy wcześniej na muzealnej wystawie. Przystąpiłam więc do bardziej dokładnego rozpoznania moich „odkryć”. Rozwinęłam wszystkie rulony. Zachwyliła mnie barwa tych „malunków”, jak na blisko 110-letnią „starość” ich stan zachowania był prawie idealny. Wewnątrz rulonu znajdował się wałek drewniany z napisem „Kalki z malowań Kaplicy Jagiellońskiej (czyli Świętokrzyskiej) na Wawelu. Wykonał Ludwik Lępkowski w 1869 roku”. Zwołałam pół muzeum, jak to zwykle bywa w przypadku takiego znaleziska. Zastanawialiśmy się — co dalej? Zaczęłam poszukiwania stosownej literatury w naszej bibliotece. Przeczytałam pracę doktorską ANNY RÓZYCKIEJ-BRYZEK, drukowaną w III tomie „Studiów do dzieł Wawelu”, poświęconą bizantyjsko-ruskim malowidłom ściennym w wawelskiej Kaplicy Świętokrzyskiej. Zadzwoeniłam do autorki pracy. Pamiętam, że odkryte rulony zrobiły na niej duże wrażenie (przecież jej praca doktorska powstała w latach 1960—61). Przynależała, że w czasie pracy nad malowidłami liczyła po cichu, że jakaś dokumentacja istnieje, musi istnieć. Była zaskoczona faktem, że jest to dokumentacja sprzed pierwszej w dziejach konserwacji Kaplicy i że... znajduje się w posiadaniu archeologów. Jak owe kalki trafiły do nas, tego chyba nigdy się nie dowiemy. Na wspomnianym wałku, na który nawinięto kalki była także naklejka z napisem „Gabinet Katedry Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego”. Twórcą tego gabinetu był JÓZEF LEPKOWSKI, który w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku współpracował w dziale odnowy Katedry wawelskiej (w naszym archiwum muzealnym znajdują się kopie protokołów z otwarcia grobów królewskich z podpisem Józefa Lępkowskiego; wśród członków komisji był również Jan Matejko, którego podpisy także widnieją...) Był może Józef Lępkowski gromadził w Gabinetie Archeologicznym dokumentację dotyczącą katedry i stąd kalki u archeologów, choć powinny być raczej przechowywane w powstałym później Gabinetie Historii Sztuki. Gabinet Archeologiczny został podzielony na dwa zbiory, a w 1921 roku wydzielono jeszcze trzeci, tj. kolekcję zabytków archeologii śródziemnomorskiej. W latach 1939—45 zbiory archeologiczne tego Gabinetu przeniesiono do Collegium — Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego do Muzeum Archeologicznego, mieszczącego się wówczas przy ul. św. Jana 22, Sądze — kończy wypowiedź odkrywczyńi, Marta Zaitz, że tylko wtedy mogły te kalki dostać się do zbiorów naszego Muzeum, jeśli w dalszym ciągu tkwiły w zbiorach Gabinetu Archeologicznego UJ.

Owe kalki — kopie malowideł ściennych Kaplicy Świętokrzyskiej wykonał w roku 1869 brat Józefa — LUDWIK LEPKOWSKI, artysta malarz. A zatem tuż przed pierwszą w dziejach konserwacją kaplicy, niemal dokładnie 400 lat po wykonaniu arcydzieła przez mistrzów, wywodzących się z kręgu sztuki północnoruskiej, a dokładniej ze szkoły pсковskiej. Malowidła po setkach lat zatrzały swoją pierwotną ostrość rysunku i świeżość barw. Ludwik Lępkowski zatem wykonał kopie, aby najwierniej — jak umiał — zachować dla potomnych oryginalny wygląd malowideł. W latach 1870—1872 Kaplicę Świętokrzyską restaurował IZDOR JABŁOŃSKI, zapewne wykorzystując kopie Ludwika Lępkowskiego. Trudno wykluczyć, że z pracy Ludwika Lępkowskiego korzystał także w latach 1904—1905 JULIUSZ MAKAREWICZ, któremu przyszło podjąć ten sam trud, co i Jabłońskiego. Natomiast jest pewne, że profesor Rudolf Kozłowski, najlepszy z wawelskich konserwatorów, posłużył się kopiami nie mógł, gdyż nie wiedział o ich istnieniu. Rulony od paru dziesięcioleci poszły w zapomnienie, w kurz lamusów Gabinetu Archeologicznego, a

chyba bardzo przydałyby się Kozłowskiemu w latach 1947—1951, gdy on właśnie konserwował po raz trzeci w historii tę kaplicę grobową króla królów Kazimierza Jagiellończyka i matki królów Europy — jego żony, Elżbiety Rakuskiej.

Wystawa, przygotowana przez Martę Zaitz w pięknych salach własnego czy raczej macierzystego muzeum, pomieściła połowę spośród 60 barwnych kopii, na których utrwalał stan zachowania wszystkich fresków. Poszczególne „kalki” zawierały także sceny, jak m. in. Boże Narodzenie, Wskrzeszenie Łazarza, Ojcowie Kościoła, Zwiastowanie, Chrzest Chrystusa, Ostatnia Wieczerza, Modlitwa w Ogroju, Sąd Piłata, Biczowanie, Droga na Golgotę, Ukrzyżowanie, Złożenie do grobu, Chrystus pojawiający się Mariom, Wniebowstąpienie, Mojżesz i Izajasz oraz Wjazd do Jeruzolimy i Chóry Anielskie. Utożsamienia motywów malowideł dokonała Marta Zaitz na podstawie rewelacyjnej pracy doktorskiej dr Anny Różyckiej-Bryzek, w której znajduje się szczegółowy opis wszystkich scen, jak i komentarz do nich.

Wystawa rozwiniętych rulonów trwała 105 dni i zobaczyła ją ponad 6 tysięcy osób; dla porównania konkurencyjną w sensie tematu — Skarbu Wiślan, która trwała 85 dni obejrzało blisko 5 tysięcy. Mniej więcej remis. Oczywiście najważniejszy oraz jałowy będą spory, które odkrycie okazało się istotniejsze i bardziej zapładniające umysły. Nie podejmuje się

## TAJEMNICE

bowiem rozstrzygać czy szewc jest ważniejszy od krawca. Pamiętajmy, że wystawy w Muzeum Archeologicznym są z zasady kameralne i ściągają tych, którym imperatyw wewnętrzny połączony z wyrażnymi zainteresowaniami każe przyjść właśnie tutaj. Żeby bardziej leniwym umożliwić obejrzenie tych cudów (Kaplica Świętokrzyska jest ciemna, nie widać szczegółów malowideł) — na

## WAWELSKICH

wszelki wypadek, podobnie jak w przypadku o-wych placidel z Kanoniczej w tym samym cyklu „Sensacje z przeszłości” umożliwiłem szerokim kręgom telewizyjnym obejrzenie ich z bliska we własnych mieszkaniach, prowadząc wywiady z profesorem JERZYM SZABŁOWSKIM, dyrektorem Państwowych Zbiorów Sztuki i zarazem konserwatorem Wawelu oraz docentem KAZIMIERZEM

## MALOWIDEŁ

RADWAŃSKIM. Pierwszy komentarz waga odkrycia, powołując się na świetną pracę Anny Różyckiej-Bryzek, drugi zaś opowiedział o szczegółach odkrycia. Obaż zaczęli mówić i mówili zatem wszystko to, o czym niezręcznie byłoby opowiadać panom.

Posypały się listy i rozdzwoniły telefony. Prawdziwa frajda dla popularyzatora nauk humanistycznych gdy widzi, że trud nie poszedł na marne. Okazało się, że ludzie chcą wiedzieć, skąd w katolickiej świątyni wzięły się motywy bizantyjsko-ruskie, ile tego rodzaju malowideł było w kościołach na terenach rdzennej Polski, a ile pozostało w zabytkowych budowach do naszych dni.

Najwyższy zatem czas, aby te problemy dopowiedzieć i szerzej je rozwinąć, posługując się wiedzą zebraną i w całości wyłożoną w pracy doktorskiej ANNY RÓZYCKIEJ-BRYZEK. Zgodnie z przyjętą zasadą, że odkrycie w historii kultury zachęca do spojrzenia wstecz na przeszłość, ba, jest wręcz pretekstem do wnikięcia w epokę, z której odkrycie się wywodzi. W tym przypadku zaś bardziej interesujący jest rodowod oryginalów niż kopii.

Genealogię powstania malowideł o motywach bizantyjsko-ruskich wyjaśnia ANNA RÓZYCKA-BRYZEK jasno i precyzyjnie: położenie wschodnich ziem Polski w zasięgu wpływów cywilizacji wschodniej i zachodniej sprawiło, że na tym terenie dochodziło do oczywistego wzajemnego oddziaływania obu kultur. Nieraz jednak w ciągu dziejów artystyczne ekspansja księstw ruskich, szczególnie żywotnych przed podbojem tatarskim, przybrała na sile sięgając także w głąb naszego kraju. Przyczyniały się do tego częste związki dynastyczne Piastów z panującymi rodami ruskimi, jak i stały proces przyłączania do Polski obszarów zamieszkałych przez ludność prawosławną. Uchwytny i realny kształt przybierają te ślady infiltracji kulturalnej dopiero w czasach pierwszych Jagiellonów, objawiając się w szeregu własnych polichromii kościelnych, wykonanych „na sposób grecki”, jak je współcześni określali, i zestrojonych w pełną swoistego wyrazu całość z gotyckimi wnętrzami. Stanowią one — i to jest bardzo ważne — najdalej na zachód wysunięty zespół zabytków powstałych w kręgu oddziaływania sztuki Bizancjum w jej ostatniej fazie tak zwanego Renesansu Paleologicznego. Według zapisów Długosza oraz innych źródeł, w czasach Jagiellonów „graeco opere” katedrę w Gnieźnie, kolegiatę w Sando-

mierzu i Wiślicy, opacki kościół na Łysej Górze i zamkowy w Lublinie, wawelskie kaplice misjonarzy i św. Trójcy, a także spychalnię królewska na Wawelu. Do liczby tej dochodzą jeszcze „nasze” malowidła w kaplicy św. Krzyża, fundacji Kazimierza Jagiellończyka. Spośród dziewięciu wymienionych zabytków większość zaginęła. O losach malowideł gnieźnieńskich, w kaplicy misjonarzy i w spychalni królewskiej, nie mówią nic przekazy historyczne, wiemy natomiast, że freski na Łysej Górze zniszczone podczas pożaru w 1777, zaś te z kaplicy św. Trójcy na początku wieku XIX zostały usunięte w trakcie przebudowy wnętrza na klasycystyczne mauzoleum. Do dziś zachowały się więc cztery polichromie w Wiślicy, Lublinie, Sandomierzu i Kaplicy Świętokrzyskiej wawelskiej katedry. Ten ostatni przypadek jest wyjątkowy, gdyż jedynie kaplica św. Krzyża na Wawelu szczęśliwym zbiegiem okoliczności, jeśli nie cudem — uniknęła zainkrowania, była ona dostępna przez cały czas swego istnienia i wielokrotnie wspomniana w źródłach; pozostałe natomiast, zakryte warstwą popiołu przez parę stuleci, uległy zapomnieniu. Martwe wzmiarki kronikarskie o nich — pisze Anna Różycka-Bryzek — przyobłąkiły się w widomy kształt plastyczny dopiero z końcem wieku XIX, kiedy odkryto freski w prezbiterium katedry sandomierskiej (1891), w lubelskim kościele św. Trójcy w latach 1899—1923, a w latach 1922—1930 w kolegiacie wiślickiej.

przywiany do swego dziedzicznego księstwa i niemal o roku spędził na Litwie zimowe miesiące. Wielość fundacji ruskich polichromii w polskich kościołach odnosi się jednak do samego Jagiellonów. Po blisko czterdziestoletniej przerwie od śmierci założyciela dynastii jagiellońskiej, jego syn Kazimierz Jagiellończyk raz tylko nakazał udekorować i to swą grobową Kaplicę Świętokrzyską, motywami bizantyjsko-ruskimi. W blisko półwiekowym okresie panowania tego króla zlecenie pracy malarzom ruskim było więc zdarzeniem odosobnionym. Późniejsze badania mówią także, że mogli to być krakowscy mistrzowie z ukształtowanej szkoły malarstwa, którzy wycyuli się tej sztuki od malarzy z Litwy. Opierając się na analizie ikonograficznej nasi badacze głosili tezę o polskiej szkole malarstwa bizantyjskiego, w której doszło do szczególnego zespolenia wschodniego stylu z ikonografią zachodnią. Takie stwierdzenie doprowadziło do dalszej interpretacji omawianych polichromii jako czynnika o dużym znaczeniu w aktualnym od końca wieku XIV dziele budowy umi Kościoła rzymskiego z prawosławnym. Już od początków swego panowania Jagiello rozwinął działalność w kierunku takiej umi, wykorzystując przychylną Kościołowi rzymskiemu atmosferę na Rusi wynikającą z obawy przed ekspansją księstwa moskiewskiego. Nawiązały bliskie stosunki z zwołennikiem umi, kijowskim metropolitą Izydorem, Jagiello wystosował do patriarchy w

Tak w skrócie wygląda rozumowanie dr Anny Różyckiej-Bryzek. Odkrycie Marty Zaitz skłoniło mnie jednak do rozmyślań szerszych niż tylko refleksje nad oryginałem malowideł, nad realiami epoki, w której powstały. W tym tkwi — między innymi — waga tego rodzaju znalezisk, że pobudzają wyobraźnię, że skłaniają umysł do poszukiwań. Bo jeśli głębiej zastanowić się, to przecież wyłania się z tego problemu nadzwyczaj, a mianowicie współzależność kultury: zderzenia wpływów kultury rzymskiej z rusko-bizantyjską i to właśnie na ziemiach polskich. Co z tego wyniknęło dla trwałych wartości kultury polskiej? To temat sam w sobie dla tegiej, uczonej głowy. Zanim ktoś stworzy syntezę tego problemu, wrócić się o komentarz do wielkiego uczonego — który na dodatek sam został poprzez rodzinną tradycję litewską ukształtowany na owym styku kulturowym — prezesa Polskiej Akademii Nauk, prezidenta historyków świata (tak można określić jego rolę przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych), dyrektora Zamu Królewskiego w Warszawie, historyka-mediawisty, profesora ALEKSANDRA GIEYSZTORA. Oto jego, w pełni cytowana, wypowiedź:

— Jeżeli umieścić na mapie zabytków romańskich najdalej na wschód Europy wysunięte kościoły i opactwa, to okaże się, że nie przekraczają one Wisły z wyjątkiem prawobrzeżnych Czerwieńska i Plocka. Jeżeli to samo uczynimy z architekturą gotycką, to jej świadectwa sięgną Tallina, Wilna i Lwowa. Czyżby były to dwie kolejne rubieże kultury europejskiej w jej łacińskiej, zachodniej odmianie? Nie jest to wcale pewne nawet dla XII wieku, a na pewno niesłuszne dla XV. Na obrzeżu Europy Zachodniej pulsowała szeroka strefa przemianująca poza obie wspomniane tu granice.

Polska ostatniego Piasta i pierwszych Jagiellonów wchodziła w rozliczne aliansy kulturowe choćby z racji współzależności państwa narodowości — każda ze swoim bagażem idei i środków wyrazu. Współzależność i tolerancja tworzą wprawdzie sprzyjające warunki wymiany wartości, ale jej nie narzucają. Stąd obok ekspansji języka polskiego i obyczaju Polaków na Rusi Czerwonej już w XV wieku, w Wielkim Księstwie Litewskim w XVI, pozostawały licznie przetrwałające warstwy i grupy o bardzo silnym poczuciu własnej wartości kulturalnej. Kultura ruska tego czasu, zarówno na północy jak na południu, nosząc dziedzictwo staroruskie, a w nim sukcesję bizantyjską, zdobywała się na kontynuację i na nowe dzieła. Czy następowały zbliżenia z kulturą polską? Przyczyna się tu zwykle ślady malarstwa wlochyńskiego, nowogrodzkiego czy twerskiego w kościołach Królestwa Polskiego, nie bez racji wskazując na poszerzenie wyobraźni ideowej i artystycznej Polski XIV i XV wieku, dzięki ich pedłowi. Trzeba jednak stwierdzić, że pozostały one importem jednorazowym bez wpływu na twórczość miejscową, choć znajdowały tak pełną i głęboką akceptację jak ikona jasnoogrodzka, znana nam co prawda w swej następnej, po roku 1430, italizującej wersji. Trzeba też podnieść, że odpowiadały one wszystkim bardzo swoistemu ekumenizmowi Jagiellonów i jego syna Kazimierza, oddanych katolików, a jednocześnie ludzi przesyconych od dzieciństwa lub wczesnej młodości wschodnim odzworowaniem i kryształizowaniem przeżyć religijnych wokół ruskiej formy plastycznej. Imponowała ona szerokim masom komentów dóbr kultury artystycznej do tego stopnia, że narzucała szacunek i uznanie dla tego, co namalowano „more Graeco”, ale wówczas nie sięgał już obrzędu chrztu, skoro wymagano go od schizmatyków na nowo, gdy przyjmowali katolicyzm. Niemniej owo otwarcie ku wschodowi w różnej postaci wzbogacało widzenie świata i jego artykulary. Język polski dowodnie od XVI wieku, a zapewne i nieco wcześniej przyjął do swego słownictwa niemal znakomitych rutenizmów; strój polski już od czasów Wita Stwosza nabrał trendu orientalizacji, płynącej z południowego-wschodu. Państwa jagiellońskie nie mieściły się od czasu Miecchowiły w wąsko rozumianej Europie. Należało dla nich znaleźć inne, adekwatne określenie kulturowe, którym stała się Sarmatia europejska.

Wypowiedź profesora Aleksandra Gieysztorza można oczywiście wzbogacać o fakty i przemyślenia, dotyczące współzależności kulturowej w Rzeczypospolitej Dwojga, a ściślej biorąc Trójga Narodów (i wielu mniejszości). Owo pogranicze Wschodu i Zachodu, pełne politycznych i militarnych konfliktów w przeszłości, było tak pozytywnie oceniające w sferze kultury. Czyniło kulturę polską bogatszą i silniejszą, czego dowodem choćby asymilacja doń kultury polskich Ormian.

Jeśli zaś ktoś namacalnie chciałby stwierdzić, jak dalece sprawa ta jest pulsująca i żywa, niech pójdzie na autorską wystawę lub zajrzy do pracowni wybitnego artysty-malarza, profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych — Jerzego Nowosielskiego, który jest także teologiem prawosławia. Miejsce pracy Mistrza Nowosielskiego, który śmiało sięga do motywów wschodnich kulturowego pogranicza, znajduje się niedaleko przecież zarówno wawelskiej Kaplicy Świętokrzyskiej jak i Muzeum Archeologicznego, w którym szczęśliwym trafem znalezione rulony kopii bizantyjsko-ruskich — tych refleksji stały się przyczyną.

ZBIGNIEW ŚWIECH

\*) Drukujemy rozdział książki zatytułowanej „Sztuka i odkrycia”, przygotowywanej dla krakowskiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej.



Fragment kopii malowideł rusko-bizantyjskich z Kaplicy Świętokrzyskiej — „Ojcowie Kościoła” Fot. A. Wierzb

Zoczywistych względów przedmiotem najwcześniejszych zainteresowań naukowych, rodzących się w połowie poprzedniego wieku, były malowidła w Kaplicy Świętokrzyskiej. Wraz z odświeżeniem dalszych polichromii zaczęła narastać wokół nich literatura, w której oprócz prac opisowych pojawiły się metodyczne badania. Były to pierwsze próby wyjaśnienia znaczenia i zasięgu sztuki bizantyjsko-ruskiej w Polsce. Badano przytoczone zdobienia katolickich kościołów malowidłami o stylu przejętym ze schizmatycznej, cerkiewnej sztuki. We wszystkich próbach badawczych przewijał się wspólny motyw: podkreślenie roli upodobań pierwszych Jagiellonów do kultury ruskiej. Na istnienie mecenatu królewskiego — dowodzi autorka — wyraźnie wskazuje fakt, że czas powstania polichromii ruskich w naszym kraju przypada wyłącznie na panowanie Władysława Jagiellon i jego syna, Kazimierza Jagiellończyka. Geneza tego zjawiska tkwi niewątpliwie w warunkach historycznych czystej Litwy Jagiellonów. Jagiello, choć poganił do chwili koronacji, wychowywany był przez matkę Julannę, księżniczkę twerską wyznania prawosławnego, która wywarła wielki wpływ na ukształtowanie jego osobowości. Już w dzieciństwie przyszły król Polski zetknął się z rytuałem wschodnim, a zapewne też i z odpowiadającą mu sztuką, na poganski bowiem dworze Olgierda księżna miała swą kaplicę i przybytnych ruskich kapelanów. Kontakty poganijskiej Litwy ze sztuką cerkiewną sięgają głębiej. W XII wieku Litwini wywozili w następstwie częstych napałów na Nowogrod cenne lupy, a można śmiało przypuszczać, że były to przede wszystkim przedmioty kultowe. W epoce Jagiellonów dominowanie kultury ruskiej na Litwie, mimo politycznej przewagi Litwy, było już ugruntowane. Dwór przyjmował ruskie obyczaje, językiem kancelaryjnym był białoruski. Jagiello do końca życia przejawiał swe przywiązanie do kultury, w jakiej był wychowany, mówiąc po białorusku i otaczając się Rusinami. Nie dziwi więc, że i kościoły, które darzył szczególnym kultem, jak w Gnieźnie i na Łysej Górze, lub te, które leżały na szlaku jego ustawicznych objazdów państwa — jak w Wiślicy, Sandomierzu i Lublinie, zlecił ozdobić na sposób znany mu od młodości.

Wpływy ruskie na Litwie, aczkolwiek u mniejsze niż przez jej związek z Polską, trwały nadal i za panowania Kazimierza Jagiellończyka. Był przecież głęboko

Konstantynopolu projekt zwolania soboru poświęconego umi. Ten jednak zasłonił się wtedy koniecznością wcześniejszego usunięcia niebezpieczeństwa tureckiego. Projekt umi został ponownie wysunięty przez Polskę na soborze w Konstancji (1418). Zamiast konkretnego rozwiązania sprawy na soborze, który odroczono, Jagiello i Witoldo papież uczynił wikariuszami apostołskimi w Pskowie i Nowogrodzie. Umie podpisano we Florencji w 1439, już po śmierci Jagiellonów. Zachowano wiarę rzymską, przyzwalając na dwa obrządki. Główny zwolennik umi, metropolita kijowski Izydor, zaopatrzonej w pełnomocnictwa papieża, mianowany kardynałem apostołskim wyruszył do swych ziem, odprawiając po drodze nabożeństwa w obrządku greckim w kościołach katolickich. W Krakowie wityny był uroczysty — odprawił tu msze w katedrze wawelskiej i kościele Mariackim. W następnych latach działalność unicką skutecznie paraliżowano...

Wróćmy do naszego tematu przewodniego: wobec tak skomplikowanych spraw obu wyznań w Polsce — jaki mógł być stosunek duchowieństwa katolickiego do ruskich polichromii? W pismach ówczesnych, m. in. Jana Długosza czy Piotra z Rozpry znajdujemy nawet powołanie się na malarstwo cerkiewne, jako na ostoję wartości duchowych wobec zbyt świeckich tendencji malarstwa renesansowego. Świadczy to o tolerancyjnym, zgodnym z tradycją zachodnią stosunku ówczesnego duchowieństwa polskiego do sztuki. Natomiast kościół prawosławny zwalczał wszelkie zmiany, był dogmatyczny, sztukę łacińską traktował jako „heretyk”.

Wszystkie tego rodzaju rozważania nie rozwiązuje jednak problemu związku jagiellońskich polichromii ruskich z ideą umi. O ile — pisze autorka cytowanej pracy — pomalowanie na sposób grecki kilku ważniejszych kościołów w Polsce za czasów Jagiellonów mogłoby nawiązywać do jakiejś zamierzonej akcji, to już inaczej jest w okresie późniejszym. Z chwilą śmierci Jagiellonów ustały tego rodzaju fundacje. Fakt, że Kazimierz Jagiellończyk w ciągu półwiecza swego panowania tylko raz zlecił tego rodzaju pracę malarzom — najpewniej ruskim — i to w swojej kaplicy grobowej, nie pozwala łączyć tego odosobnionego zjawiska ze słabą przesłaną wówczas działalnością na rzecz umi. Świadczy o tym, że malowidła te były jedynie wyrazem osobistych upodobań króla do sztuki cerkiewnej — zgodnych z tradycją rodzinną, która wraz z nim wygasła.

# u wróżki - Byłam u wróżki - Byłam u wróżki - Byłam



Fot. W. KLAG

— Czego pani ode mnie oczekuje? Nie ma pani sztywnych promieni (?), mogę wszystko mówić o sobie. Wykorzysta pani to co uzna za stosowne — słyszę.

Mówi dużo, trochę chaotycznie, choć wszystko układa się w jasny, logiczny obraz. O rodzinie, dzieciństwie, zainteresowaniach i o pracy.

Z wykształcenia jest inżynierem rolnikiem choć nigdy nie pracowała w tym zawodzie. Od najmłodszych lat wyrastała w atmosferze zjawisk fascynujących acz niewyjaśnionych, bo takie właśnie zainteresowania mieli jej rodzice. W dzieciństwie odkryła w sobie coś, co zaczęła ją bawić, odgadywała to, co koleżanki ukrywały w skrytości. Z czasem przerodziło się to w zawód, bo to umiała robić najlepiej. Pomaga głównie kobietom, choć zdarza się, że przychodzą mężczyźni. Na ogół ich nie przyjmuje, bo są to zwykle fikscaci — jeden nawet zaproponował jej małżeństwo z obietnicą lewitacji — lub czarne charaktery. Raz przyszedł chłopak chcący skorzystać z jej pomocy tuż przed planowanym zabójstwem ciotki, jedynej bliższej osoby. Był desperowany. Rozłożyła to desperowanie na jasnejsze barwy. Prosił aby została jego krewną. Umówili się więc, że będą krewnymi. Kieruje jego życiem, chłopak skończył studia, ożenił się i przychodzi w odwiedziny razem ze swą małżonką.

Tak, ta jej praca wymaga wiedzy z różnych dziedzin: psychologii, psychologii, grafologii, chromancji, astrologii. Więc wszystko to zgłębia od lat. Tu nie ma cudów. W ogóle nie ma cudów — mówi. To co robi oparte jest na wiedzy. Jeśli zna się charakter klientki, a określenie tego nie jest trudne, zna się jej problemy (nie musi mówić o nich, ma to

wypisane na twarzy) — to znając życie i psychikę ludzką, można wydedukować dalszy przebieg spraw. Człowiekiem trzeba się przejąć, skoncentrować na nim swoją uwagę, chcieć mu pomóc. To jest najważniejsze. Można sugerować wtedy najlepsze w danym momencie rozwiązania, można ostrzegać przed krokami niestosownymi. — Ja muszę się podparć realną wiedzą, jasnowidzenie się zdarza — słyszę, ale niemożliwe jest „jasnowidzenie permanentne”. Nie mogę mieć wizji na zawołanie. Kobiety przychodzą na konkretne godziny, muszą im pomóc, każda jest wtedy najważniejsza, do każdej muszę dotrzeć.

Zainteresowanie człowiekiem, chęć pomocy przez przewidywanie najstosowniejszych zachowań, reakcji, korygowanie planów — to rola Marii. Kobiety wierzą, mocno wierzą, że jeśli zastąpią się do jej ostrzeżeń, zrobią coś według jej sugestii — odniosą sukces. W pracy, życiu, miłości. Uspokojone tym, czekają na sukcesy a przynajmniej rozwiązania problemów. Ta wiara pomaga im żyć, wykazując więcej cierpliwości w oczekiwaniu na to co ma się zdarzyć. Niejednokrotnie zdarza się właśnie tak jak w prognozach Marii. Przez przypadek? Tego nie da się wykluczyć. Najczęściej jednak dlatego, że Maria autentycznie chce pomóc i jej sugestia pomaga.

To dziwne, myślę, że wizyty tutaj w fetozie kocich zapachów są dla nich przystankiem w drodze do szczęścia, malego czy wielkiego, czasami szarego, ale spokojnego. Szczęścia i życia bez kłopotów chce każda z nich, bez względu na wiek, pochodzenie, wykształcenie. Maria o tym wie, jest od nich w danym momencie mądrzejsza. One, zgnębione nie-

szczęściem czy zniecierpliwione zwykłymi kłopotami, nie zawsze są na tyle silne, aby pomóc samym sobie. Nie zawsze widzą swoje błędy, wady. Nie zawsze w afekcie potrafią rozsądnie myśleć. Odkrycie tego przed nimi nie jest jasnowidzstwem.

Zrozumienia potrzebują wszyscy, rady, pomocy, szczyrych uczuć również. Tak niewielu jest jednak ludzi, którzy potrafią to dać drugiej osobie. Nie należy się więc dziwić, że Maria i jej naśladowczynie są obiegane. Ze biorą pieniądze? A niby dlaczego mają robić to za darmo? Muszą przecież z czego żyć.

A ci, którzy tu przychodzą, ulegają kaprysom poznania niewiedomego czy tylko słuchania o sobie i o swoich sprawach. Każdy kaprys, również posiadanie psychoanalizy, kosztuje. Maria zresztą nie wyciąga ręki po pieniądze. Są takie, które na to stać, aby przychodzić często, choć nie zięgo się nie dzieje. Dyskretny, domowy osobisty doradca wyłania się z kart, choć karty są tylko rekwiizytem. Kocie, trudne do wytrzymania zapachy? Można jakoś przeżyć. Ubranie nasiąka nimi, to nie, można uprać lub zakładać na wizyty coś gorszego... Ale jakże miło słuchać o tym co się zdarzy, jeśli postąpi się w ten właśnie sposób. A na koniec można jeszcze pomyśleć o kilku sprawach, zapytać w duchu, czy się sprawdzi. A potem czekać na sprawdzenie... Bilet do szczęścia kosztuje tylko 300 złotych...

Momentami jasnowidzenia podobno się Marii zdarzają, każda z klientek wierzy, że właśnie wtedy gdy ona przychodzi.

URSZULA ORMAN

— Panie Władysławie, proponuję naszą rozmowę rozpocząć od dwóch jakże wspaniałych i dramatycznych pojedynków z Liverpoolem, które otworzyły nam drogę do pierwszej czwórki Pucharu Europy. Jak pan z pewną już perspektywą patrzy na te mecze? Co zadeceowało o Waszym sukcesie?

— Do tych spotkań podeszliśmy bardzo poważnie, prestiżowo. Nie mieliśmy za sobą żadnych pojedynków w lidze, całe przygotowanie szły w tym kierunku, aby już z początkiem marca drużyna była w niezłej formie. Z tym, że jakichś superprzygotowań nie było; w styczniu normalny obóz kondycyjny w Wałcu, potem nastąpiła bardzo ważna faza — obóz treningowy — już specjalistyczny — we Włoszech. Jak najwięcej kontaktu z piłką, jak najwięcej gier kontrolnych. Do meczu z Liverpoolem rozegraliśmy aż 13 spotkań, w analogicznym okresie ubiegłego roku tylko 9. We Włoszech mogliśmy trenować na bardzo dobrych boiskach, tam można było przerobić wszystkie najważniejsze elementy gry, atak pozycyjny, kontratak, doskonałą grę obronną. Tak dozwoliliśmy obciążenia treningowe, żeby zawodnicy uniknęli kontuzji i chorób. Wprawdzie przed samym meczem z Liverpoolem spora część drużyny zachorowała na grype...

— ...czy nie była to czasem zasłona dymna?

— Absolutnie — nie, zresztą jakież to miałyby sens? Piłkarze ciężko harowali od stycznia i nawet kilkudniowa przerwa w treningach nie odbiła się na ich formie.

— Wiedzieliście o swoim rywalu niemal wszystko. Wasz „bank informacji” — jak słyszę — pracował bezbłędnie...

— Traktowaliśmy naszego przeciwnika bardzo poważnie, dlatego staraliśmy się zdobyć jak najwięcej informacji. Dysponowaliśmy aż 4 pełnymi filmami ze spotkań drużyny Paisleya, m. in. taśmy przysłał nam trener Fekowski ze Szwejcji (mecz Liverpool — West Bromwich), nasz były piłkarz Kowenicki z Anglii (Liverpool — Luton). Osobiście oglądałem mecz Liverpool — Manchester Utd, mieliśmy także film z tego pojedynku. Tymi wszystkimi informacjami zasympaliśmy drużynę na obóz w Wałcu. Zawodnicy niemal codziennie oglądali jakąż

wydaje mi się, że ta stracona bramka jakby trochę dopinguowała zespół, zawodnicy zaczęli grać swobodniej. Doszli do wniosku — teraz nie ma już nic do stracenia, trzeba grać trochę odważnie. Strzelenie gola z karnego przez Tłokińskiego stawiało Anglików w arcytudnej sytuacji. W tym momencie czułem, że mamy ponad 90 proc. szans na awans. W przerwie przestęgałem naszych piłkarzy przed huraganowymi atakami gospodarzy. Ale wiedzieliśmy, że będą to trochę ataki bez konceptu, że Anglicy muszą się odkryć. Otwierania się szansa przed naszymi szybkimi napastnikami. I wykorzystaliśmy ją, na początku II połowy Anglicy zostali skarceni kontrą w wykonaniu Filipczaka i Smolarka. Teraz wiedziałem, że nie damy sobie wydrzeć awansu. W końcu, nasz zespół, wiedząc, że nawet minimalna przegrana daje awans, trochę rozluźnił się. Szkoda, można było co najmniej zremisować 2:2.

— Liverpool raczej niechym pana nie zaskoczył?

— Liga angielska, dobra liga charakteryzuje się tym, że zespoły grają trochę jak zaprogramowane. Jeśli coś zainicjuje w maszynie, przestaje ona sprawnie działać.

— Wielu naszym kibicom podoba się elementy walki, wślizg, walka bark w bark. Ale fachowcy dobrze znający futbol angielski twierdzą, że są to gierki pod publiczność. Zawodnik np. choć wie, że piłka jest już stracona, wykonuje jeszcze wślizg, publiczność jest usatysfakcjonowana, bije brawo...

— Widownia przychodzi jak do teatru, zawodnik jest pod presją, musi grać do końca.

— Czy zgadza się pan z tym, że oba mecze ustawiła pierwsza bramka strzelona w Łodzi?

— Tak...

— ...ale w takim razie mam drugie pytanie — nie da się ukryć że ten gol padł przypadkowo, po szkolnym błędzie bramkarza gościa...?

— Zgoda. Ale proszę spojrzeć jeszcze raz na łódzki mecz. Graliśmy od pierwszych minut bardzo odważnie, bez kompleksów, a maszyna angielska od pierwszych minut zaczynała się. Nagłe okazało się, że niby taki słabeusz, a umie grać w piłkę. Błąd Grobbelaara

mę z meczu Roma — Juventus. Chciałbym przypomnieć, że graliśmy z Juventusem jesienią ubiegłego roku, to był ót taki pokazowy mecz, przegraliśmy 0:3, ale nie przywiązuję do tego wagi. Staraniem się dać szansę młodym zawodnikom, próbowałem nowych koncepcji.

— Ale nie tak dawno, bo jesienią 1980 roku Widzew wyeliminował Juventus karnymi w Pucharze UEFA. Był to zwiolowy mecz Młynarczyka, który bronil karnie jak w transie. Czy ten sukces sprzed kilku lat może mieć jakieś znaczenie psychologiczne?

— Na pewno — tak. Przecież z tamtego zespołu Juventus nadal gra 6-7 zawodników. Dzisiaj naszym młodym graczom mogę powiedzieć: widziacie, przed 2 laty Włosi też mieli „pakę”, a wasi koledzy nie ulegli się. Gwiazdy są do pokonania.

— Na ulgową taryfę ze strony Bońska nie mamy co liczyć?

— To jasne, będzie grać jak potrafi najlepiej. To jest także aktor. Będzie grał dla publiczki, dla siebie. Jest przecież piłkarzem zawodowym. Musimy się zastanowić jak ograniczyć jego swobodę, ale nie tylko jego, bo są jeszcze Rossi, Bettega, Platini.

— Panie trenerze, przejdźmy do ostatniej serii pytań. Nie bał się pan o Widzew, kiedy odchodzili Boniek, Zmuda?

— Oczywiście, to było duże osłabienie zespołu. Posłaliśmy na koncepcję znaczenia zespołu młodymi, utalentowanymi zawodnikami, z wyjątkiem Wojcickiego i Bolesty o małym doświadczeniu, rutynie. To była moja koncepcja i chyba okazała się słuszną. Wraga i Świętek szybko zaaklimatyzowali się w zespole i stanowią jego mocne punkty.

— Jak to u was jest, czy pan wysuwa listę zawodników, których trzeba kupić, czy też macie w klubie „szperaczy”, jeżdżących na mecze niższych klas i wyszukujących utalentowanych chłopców?

— W Widzewie wiele osób jest w to zaangażowanych, łącznie z prezesem Sobolewskim. Nigdy jednak nie kupujemy zawodnika w ciemno, nawet jeśli mamy sygnał, że gdzieś tam gra utalentowany piłkarz, to jadę osobiście razem z prezesem zobaczyć go w akcji.

# W TAJEMNICZY ZEGAR KOSMOSU

Chcąc obliczyć swoje dni pomyślne, niepomyślne oraz krytyczne („pechowe”) wystarczy przeprowadzić nieskomplikowany rachunek. Postawmy, przykładowo, „horoskop” dla osoby urodzonej 1 lipca 1952 roku.

Najpierw obliczamy, ile dni uwzględniając lata przestępne, kiedy lutego ma 29 dni, upłynęło od jej urodzin do dnia, w którym robimy obliczenia. (Niechaj nim będzie 4 kwietnia 1933 roku). Jeśli dobrze obliczyłem, od 1 lipca 1952 do 4 kwietnia 1983 roku upłynęło 11.243 dni. Sumę tę dzielimy kolejno przez 23, 28 i 33, aby uzyskać cykle poszczególnych rytmów (fizycznego, psychicznego i intelektualnego). Dzielać 11.243 przez 23 otrzymujemy następujący wynik: 488 i 19 dni reszty. Ta „reszta” interesuje nas najbardziej, wskazuje ona bowiem w którym dniu cyklu (tu: fizycznego) znajdujemy się w dniu jego obliczenia; w 19. Ponieważ 23-dniowy cykl fizyczny składa się z dwóch faz: trwającej 11,5 dnia pomyślnej i 11,5 dnia fizycznej, oznacza to, że kolejny cykl rozpoczął się w dniu 17 marca i że osoba, dla której obliczamy „horoskop” znajduje się, dnia 4 kwietnia br., w 19 dniu cyklu. Znacząco także, iż w dniu 27 marca zakończyła się pomyślna faza cyklu, dzień 28 marca, będący przejściem z fazy pomyślnej do niepomyślnej był dla niej dniem krytycznym („fatalnym”) oraz, że faza niepomyślna skończyła się 8 kwietnia. Początkiem kolejnego cyklu fizycznego (11,5+11,5) będzie dzień 9 kwietnia.

Mając podęczony kalendarz możemy obliczyć sobie fazy pomyślne i niepomyślne oraz dni krytyczne do końca roku — i dalej.

W podobny sposób obliczamy dzieląc 11.243 przez 28-cykl psychiczny, składający się z dwóch faz po 14 dni oraz (dzielać przez 33) — cykl intelektualny. Pamiętajmy przy tym, że w pierwszym wypadku ostatni (14) dzień fazy pomyślnej i pierwszy dzień fazy niepomyślnej czyli 15 dzień cyklu mogą być dniami krytycznymi. W drugim — dni krytyczne wypadają na 17 dzień cyklu (16+1+16).

Ponieważ większość z nas nie wie, czy urodziła się rano, czy w nocy, może istnieć ryzyko pomyłki o jeden dzień. W indywidualnych przypadkach okresy krytyczne, czyli przejście z jednej fazy do drugiej mogą trwać krócej lub dłużej (od jednego do trzech dni). Dodajmy, iż cykle te mogą zostać zakłócone przez fazy innych rytmów biologicznych, np. sezonowych, przez choroby, różnego rodzaju stresy, niekorzystny wpływ pogody, lekarstwa itd.

„Omówione cykle występują z niezwykłą regularnością (... amplituda ich jednak u różnych ludzi jest różna, zależy od właściwości urodzajnych, a także może być większa podczas nakładania się niekorzystnych innych rytmów lub stepiona pracy sprzyjających innym czynnikom ekologicznym” — stwierdza, powołując się na cząstkę „STRENGTHS AND HEALTH” — B. Kiełczewski i J. Bogucki, autorzy „Zarysu biometriologii sportu” 4).

Przemawiają za tym również argumenty dostarczone przez teorię ewolucji, zgodnie z którą biorytm narzuca do stały pierwotnym formom życia przez zjawiska kosmiczne: obroty Ziemi, fazy Księżyca, dobowe i sezonowe nasilenie się promieniowania, zmiany w natężeniu pola elektromagnetycznego i inne zegary biologiczne „dostosowują” rytm życia do regularnych zmian zachodzących w przyrodzie”. Stanowią swoiste sygnały kierujące procesami przemiany materii zależnie od zmieniających się warunków środowiska.

Najbardziej dotąd poznany rytm — dobowy, choć można go uznać za podstawowy dla procesów przemiany materii, nie jest przecież jedynym rytmem biologicznym. Wiadomo, że istnieje miesięczny, związany z ruchem Księżyca, cykl życia plicowego i emocjonalnego u kobiet. Badania przeprowadzone m. in. w USA, dowodzą, że w czasie pełni nasila się ilość samobójstw i zbrodni. Medycyna zna także cykle sezonowe dotyczące o sobie znać np. wiosenną (i jesienną) osłabieniem organizmu, czy — powiedzmy — zaostreniem się niektórych chorób (np. choroby wrzodowej).

Statystyka częstotliwości występowania zawałów serca, zaostrenia się choroby nadcisnieniowej czy statystyka zgonów również dowodzi, że liczba ich powiększa się w określonych porach roku. Szereg zmian w ustroju uzależniony jest od sezonowego pobudzenia układu vegetatywnego regulującego pracę płuc, serca, gruczołów dokrewnych etc. Nawet tak „pospolite” zjawiska jak długość snu lub szybkość gojenia się ran zależne są od rytmów sezonowych. Jak dotąd stwierdzono, w ludzkim organizmie wmontowanych jest ok. 40 zegarów biologicznych, 40 rytmów, które — nakładają się na siebie — tworzą w y p a d k o w a naszego samopoczucia fizycznego, psychicznego i intelektualnego.

Pośród nich warto zwrócić uwagę na trzy cykle 8) występujące — jak twierdzą niekiedy — z dużą regularnością przez całe życie.

Pierwszy, trwający 23 dni cykl fizyczny decyduje o sprawności fizycznej. Cykl psychiczny trwający 28 dni, a cykl intelektualny określający „pamięć i dyspozycję twórczą” — 33 dni. Zdaniem części uczonych zajmujących się tą problematyką, cykle te zaczynają się w dniu urodzenia, a każdy z nich dzieli się na dwie równe fazy: pomyślną i niepomyślną. Przejście z fazy pomyślnej do niepomyślnej, to z kolei dni krytyczne, charakteryzujące się wyraźną zmianą sprawności fizycznej i umysłowej oraz obniżeniem nastroju. Jak się oblicza, na ową fazę dni niepomyślnych, a zwłaszcza na dni krytyczne przypada ok. 3/4 wszystkich zachorowań oraz wypadków przy pracy i drogowych.

Przemawiają za tym również argumenty dostarczone przez teorię ewolucji, zgodnie z którą biorytm narzuca do stały pierwotnym formom życia przez zjawiska kosmiczne: obroty Ziemi, fazy Księżyca, dobowe i sezonowe nasilenie się promieniowania, zmiany w natężeniu pola elektromagnetycznego i inne zegary biologiczne „dostosowują” rytm życia do regularnych zmian zachodzących w przyrodzie”. Stanowią swoiste sygnały kierujące procesami przemiany materii zależnie od zmieniających się warunków środowiska.

Najbardziej dotąd poznany rytm — dobowy, choć można go uznać za podstawowy dla procesów przemiany materii, nie jest przecież jedynym rytmem biologicznym. Wiadomo, że istnieje miesięczny, związany z ruchem Księżyca, cykl życia plicowego i emocjonalnego u kobiet. Badania przeprowadzone m. in. w USA, dowodzą, że w czasie pełni nasila się ilość samobójstw i zbrodni. Medycyna zna także cykle sezonowe dotyczące o sobie znać np. wiosenną (i jesienną) osłabieniem organizmu, czy — powiedzmy — zaostreniem się niektórych chorób (np. choroby wrzodowej).

Statystyka częstotliwości występowania zawałów serca, zaostrenia się choroby nadcisnieniowej czy statystyka zgonów również dowodzi, że liczba ich powiększa się w określonych porach roku. Szereg zmian w ustroju uzależniony jest od sezonowego pobudzenia układu vegetatywnego regulującego pracę płuc, serca, gruczołów dokrewnych etc. Nawet tak „pospolite” zjawiska jak długość snu lub szybkość gojenia się ran zależne są od rytmów sezonowych. Jak dotąd stwierdzono, w ludzkim organizmie wmontowanych jest ok. 40 zegarów biologicznych, 40 rytmów, które — nakładają się na siebie — tworzą w y p a d k o w a naszego samopoczucia fizycznego, psychicznego i intelektualnego.

Pośród nich warto zwrócić uwagę na trzy cykle 8) występujące — jak twierdzą niekiedy — z dużą regularnością przez całe życie.

Pierwszy, trwający 23 dni cykl fizyczny decyduje o sprawności fizycznej. Cykl psychiczny trwający 28 dni, a cykl intelektualny określający „pamięć i dyspozycję twórczą” — 33 dni. Zdaniem części uczonych zajmujących się tą problematyką, cykle te zaczynają się w dniu urodzenia, a każdy z nich dzieli się na dwie równe fazy: pomyślną i niepomyślną. Przejście z fazy pomyślnej do niepomyślnej, to z kolei dni krytyczne, charakteryzujące się wyraźną zmianą sprawności fizycznej i umysłowej oraz obniżeniem nastroju. Jak się oblicza, na ową fazę dni niepomyślnych, a zwłaszcza na dni krytyczne przypada ok. 3/4 wszystkich zachorowań oraz wypadków przy pracy i drogowych.

# HARTOWANIE WIDZEWA



Po meczu z Liverpoolem trener Władysław Żmuda z Piotrem Romką i Wiesławem Wragą.

taśmę. Potem ja starałem się wybrać najważniejsze elementy, wypunktować zalety i wady Anglików. Każdy z piłkarzy wiedział o swoim przeciwniku niemal wszystko, że ten jest lewonożny, a ten ma taką kwiłkę, że jest zwrotny itp. Później w swoich założeniach taktycznych staraliśmy się to wykorzystać. I chyba to nam się udało. Rozszyfrowaliśmy np. grę obrony angielskiej. Pamiętam pan w meczu łódzkim akcje Graboza już w 2 minucie. To ich trochę przestraszyło, zobaczyli, że mają do czynienia z przeciwnikiem, który wie co to piłka.

— Wy wiedzieliście o Anglikach wszystko, a oni?

— Też obserwowaliśmy nas w meczach kontrolnych we Włoszech, ale obraz z takich gier sparingowych jest trochę wypaczony. Trener, który tam był, przekazał do Anglii informacje, że Widzew to jest taka drużyna łatwa do przejścia, że nad szczegółami nie ma się co rozdrabniać. To był błąd Anglików, którzy chyba trochę nas zlekceważyli. Z tym, że trzeba znać specyfikę piłkarstwa angielskiego. Będąc w Liverpool wyczułem, że dla nich liga to jest coś naj, naj, naj, a potem ewentualnie liczy się Puchar Europy...

— ...podobnie Kanadyjczycy traktują hokejowe MS, u nich priorytet ma Puchar Stanleya...

— ...taka jest ich mentalność. Jak rozmawiałem z trenerem Paisleyem to nie zapomniałem nawet — jaka u nas jest pogoda. Nie podszedł do mnie dzień dziennikarze angielski. Mieliśmy więc przewagę w ocenie drużyny, formacji, poszczególnych piłkarzy. Wiedzieliśmy np., że Kennedy jest słabszy w destrukcji, dlatego w Łodzi grał po jego stronie Smolarek. To wszystko procentowało na boisku...

— Niektórzy szkoleniowcy twierdzą — rywal miał nie obchodzić, my mamy swój styl gry i narzucimy go przeciwnikowi.

— Oczywiście nie można fetyszyzować, że taktyka jest orężem, który wszystko załatwi. Taktyka jest wtedy silnym orężem, kiedy zespół jest bardzo dobrze przygotowany pod względem fizycznym, piłkarskim i psychicznym. Jeśli drużyna nie potrafi grać, to najlepsza taktyka na nie się zda.

— Czy w rewanżu miał pan jakieś momenty wątpliwości, co pan myślał kiedy padał z karnego pierwsza bramka dla Anglików?

— Scenariusz tego pojedynku był prosty, oni będą atakować, my będziemy mieć dobre zorganizowaną obronę — kontratakować. Chodziło o to, żeby nie stracić bramki w pierwszych 20 minutach, a dążyć do jej zdobycia.

— Ale bramka, taka trochę głupia, padła dla gospodarzy...

— I mam wielkie uznanie dla mojej drużyny, że nie zalamala się. Chłopcy nie zapomnieli o założeniach taktycznych, dalej grali swoją grę. Jak tak teraz patrzę z dystansu, to

był więc niejako konsekwencją naszej dobrej, odważnej gry.

— Liverpool to już historia, teraz grać z Juventusem. Niech pan powie, ale szczerze — chciał pan spotkać się z tym rywalem?

— Jasne, że nie. Niewątpliwie najlepiej byłoby grać z mistrzem Hiszpanii.

— Ale wyników losowania nie da się zmienić. Czy to dobrze, że pierwszy mecz gramy w Turynie? Część kibiców wyraża pogląd, że jeśli przegramy nawet 0:1, to w rewanżu, mając na uwadze siłę włoskiej defensywy, szalenie trudno będzie odrobić straty.

— To jest pytanie teoretyczne. W zasadzie lepiej grać rewanż u siebie. Ale w tym konkretnym przypadku faktycznie odrobić nawet 1-bramkową stratę będzie trudno. Naszym celem musi być strzelenie bramki — będą to ciagle powtarzać zawodnikom. Niekorzystny wynik w meczu wyjazdowym może źle wpłynąć na psychikę naszych graczy.

— Czy widział pan „na żywo” Juventus?

— Kiedy ostatnio byliśmy we Włoszech — nie. Tylko fragmenty spotkań w telewizji. Za to z całą drużyną oglądaliśmy pojedynek Cypr — Włochy, zakończony sensacyjnym wynikiem 1:1. W reprezentacji Włoch grało aż 6 piłkarzy Juventusa. Po tym meczu doszliśmy do wspólnego wniosku, że same nazwiska nie grają. Inna rzecz, że Juventus był wtedy w dołku. Ostatnio gra coraz lepiej, zebrał bardzo pochlebne opinie za mecze pucharowe z Aston Villa. Widać, że drużyna jest na „fali”. W meczu z nami zagra na pewno z oburzym zaangażowaniem.

— Co pana zdaniem zadecyduje o wyniku obu spotkań — aktualna forma fizyczna, nastawienie psychiczne, lepsze rozeznanie słabych i mocnych punktów rywala?

— Biją nas na pewno doświadczeniem, wyszkoleniem indywidualnym poszczególnych graczy. Natomiast siła Widzewa jest gra kolektywna. O grze Juventusa decydują gwiazdy, jeśli np. Platini gra słabiej, ratuje to na całą drużynę.

— Czy zastanawiał się pan jak grać przeciwko tym gwiazdom, kogo kryć indywidualnie?

— Na to jeszcze nie miałem czasu. Właśnie nasz filmowiec pojechał do Włoch nakręcić film z meczu Juventus — Torino. Wrócił w poniedziałek, zaczniemy to analizować (wywiad z trenerem Żmudą przeprowadzaliśmy 26 marca br. — przypis autora).

— A pan sam nie wybiera się do Włoch?

— Nie ma czasu, lecz przeciw spotkaniu ligowemu. Dla nas to bardzo ważna sprawa.

— Rozeznaniem Juventusu nie będzie więc tak dokładne jak Anglików. Przecież nie możemy liczyć na Bonka...?

— Liczę, że dostaniemy jeszcze ta-

## Godzina szczerości z WŁADYSŁAWEM ŻMUDĄ

— Jaka formacja Widzewa wymaga wzmocnienia w najbliższym czasie?

— Będziemy mieli problemy z obroną, Andrzej Grębosz załatwia formalności z wyjazdem do Finlandii. Liczę, że pozostanie z nami do końca ligi, ale potem trzeba będzie szukać następcy. Na tej pozycji mógłby grać Tłokiński. Tylko, że jego trochę szkoda na tę pozycję.

— Słyszysz się opinie, że Tłokiński nie wykorzystał do tej pory swoich możliwości, że stać go na więcej, niż pokazał...

— Niekiedy zawodnik ma papiery piłkarskie, ale dojrzewanie psychiczne trwa dłużej. On był trochę w cieniu Zbyszka Bonka. Dopiero jak odszedł Boniek, niektórzy zawodnicy jakby bardziej uwierzyli w swoje umiejętności i zaczęli grać dojrzałe. Proces przebudowy naszego zespołu będzie zresztą trwał nadal. Trzeba się liczyć z tym, że w dalszej kolejności odejdą Rozborski, Surlit. Najważniejsze, żeby klub był organizacyjnie i szkoleniowo na to przygotowany. Jeśli jakiś zawodnik ma odejść, to ja muszę mieć kogoś na jego miejsce.

— Widzew znany jest z mekłej, ostrej gry. Ale niekiedy piłkarze przekraczają granicę fair play, tak było np. w meczu z Rapidem w Łodzi — jedna czerwona i 5 żółtych kartek... W ten sposób zawodnicy osłabiali zespół. W meczu z Liverpoolem zauważyłem pod tym względem znaczną poprawę. Jak pan to wyegzekwował?

— Różnymi metodami, trochę karami, trochę perswają.

— Czy w tej chwili w zespole Widzewa jest lider, piłkarz typu Bonka?

— Zdecydowanego lidera nie ma, staramy się, żeby w każdej formacji był piłkarz o zdolnościach przywódczych. Smolarek w przodzie, Rozborski w pomocy i Grębosz jako ostatni w obronie.

— Wszyscy mówią o Widzewie — drużyna z charakterem. Co to znaczy dla pana? Czy to jest trafne określenie?

— Trafne, trafne. My tu nie mamy za dobrych warunków szkoleniowych. Jak deszcz pada, to ja mam problem, gdzie trenować. Widział pan, dzisiaj ćwiczyliśmy na boisku jakiegoś LZS-u. Czasem trenujemy na tym kawałku trawy za bramką. Uwajam, że trudne warunki hartują, uodparniają ludzi. Druga sprawa — jeśli gramy jakiegoś nawet mało ważnego meczu kontrolnego, nie ma objawia się, zawodnicy traktują to bardzo poważnie. Nawet kiedy grają o drobne kwoty, to robią to tak poważnie i ostro, że jako trener muszę ich tonować.

— Sukcesy Widzewa nie są dziełem przypadku?

— Na pewno można mówić o dobrej atmosferze, wzajemnym zaufaniu, pomocy. Czasem dotyczy to spraw pozornie drobnych, ale życie składa się z przecięt z szczegółów. Prezes jest co drugi dzień w klubie, każdy zawodnik ma z nim bezpośredni kontakt.

— Dzielę się z rozmówcą, będziemy trzymać za Was kciuki w meczach z Juventusem.

Podobną reakcją biochemiczną, ale utrudniającą zażnięcie, może wywołać jakas podniecająca (zła lub dobra) wiadomość, zakłócająca normalny, powtarzający się na przemian w okresie dobowym rytm aktywności i odpoczynku. Rytm ten normalny, iż rzadko kiedy zastanawiamy się nad mechanizmem i przyczynami jego działania.

A tymczasem rezultatem owego dobowego rytmu 1) są istotne zmiany zachodzące w całym organizmie. Temperatura ciała, skurczowo i rozkurczowe ciśnienie krwi, jej krzepliwość, stężenie przerywających się w krwiobiegu substancji (m. in. wspomnianych hormonów), tętno, częstotliwość oddechu ulegają w ciągu doby istotnym wahaniom. Wahaniom tym ulega również stężenie jonów sodu, potasu i wapnia — metali wpływających na pracę nerek, na stopień pobudliwości mięśni sercowego i równowagę elektryczną komórek mózgu. W ciągu doby zmienia się nawet (o 1,2 do 1,5 kg) ciężar ciała.

Dzieje się tak nie tylko w stanie czuwania. Również podczas snu pojawiają się parokrotnie w ciągu nocy fazy silnego pobudzenia organizmu, przypominające reakcję stresową, której towarzyszy m. in. zwiększone wydzielanie hormonów, wzrost ciśnienia, przyspieszenie tętna i szereg innych objawów charakterystycznych dla wzmożonej aktywności. (Objawy te towarzyszą marzeniom sennym.)

W ciągu dnia natomiast z tą aktywnością bywa różnie. Największą sprawność, tak fizyczną jak i umysłową wykazuje organizm człowieka między godziną 9 i 11 oraz 17 i 19. Najmniejszą — w południe, między 13 i 15.

Okazuje się, że w tym właśnie okresie zmęczenia i osłabienia spada nie tylko wydajność pracy. Wtedy również zdarza się najczęściej wypadków.

„Krzywa” naszej aktywności biologicznej i psychicznej osiąga poziom krytyczny między 2 i 5 rano. Wtedy też najczęściej dochodzi do zaostrenia się procesów chorobowych, a ze statystyk wynika, iż w tej krytycznej fazie biorytmu dobowego najczęściej zdarzają się zgony.

Zależnie od pory dnia i nocy słabiej lub silniej działają podane wtedy leki, alkohol lub inne trucizny, mniej lub bardziej pomyślnie przebiega operacja chirurgiczna.

Przykładów można by przytoczyć więcej. Wszystkie one potwierdzają fakt, że czynności istot żywych, począwszy od pojedynczej komórki a na organizmie człowieka skończywszy, podporządkowane są nieustannej oscylacji, kierowanej przez jakiś tajemniczy zegar.

Przyczyny tych rytmicznych

oscylacji nie zostały dotąd sposobem dostateczny wyjaśnione. Ciągłe toczy się spor o to, czy ich źródła tkwią w samym organizmie (np. w biocemoelektrycznych procesach zachodzących na poziomie komórkowym), czy też należy ich szukać w zmieniającym się środowisku. Wydaje się jednak, iż obie hipotezy są słuszne.

Podobną reakcją biochemiczną, ale utrudniającą zażnięcie, może wywołać jakas podniecająca (zła lub dobra) wiadomość, zakłócająca normalny, powtarzający się na przemian w okresie dobowym rytm aktywności i odpoczynku. Rytm ten normalny, iż rzadko kiedy zastanawiamy się nad mechanizmem i przyczynami jego działania.

A tymczasem rezultatem owego dobowego rytmu 1) są istotne zmiany zachodzące w całym organizmie. Temperatura ciała, skurczowo i rozkurczowe ciśnienie krwi, jej krzepliwość, stężenie przerywających się w krwiobiegu substancji (m. in. wspomnianych hormonów), tętno, częstotliwość oddechu ulegają w ciągu doby istotnym wahaniom. Wahaniom tym ulega również stężenie jonów sodu, potasu i wapnia — metali wpływających na pracę nerek, na stopień pobudliwości mięśni sercowego i równowagę elektryczną komórek mózgu. W ciągu doby zmienia się nawet (o 1,2 do 1,5 kg) ciężar ciała.

Dzieje się tak nie tylko w stanie czuwania. Również podczas snu pojawiają się parokrotnie w ciągu nocy fazy silnego pobudzenia organizmu, przypominające reakcję stresową, której towarzyszy m. in. zwiększone wydzielanie hormonów, wzrost ciśnienia, przyspieszenie tętna i szereg innych objawów charakterystycznych dla wzmożonej aktywności. (Objawy te towarzyszą marzeniom sennym.)

W ciągu dnia natomiast z tą aktywnością bywa różnie. Największą sprawność, tak fizyczną jak i umysłową wykazuje organizm człowieka między godziną 9 i 11 oraz 17 i 19. Najmniejszą — w południe, między 13 i 15.

Okazuje się, że w tym właśnie okresie zmęczenia i osłabienia spada nie tylko wydajność pracy. Wtedy również zdarza się najczęściej wypadków.

„Krzywa” naszej aktywności biologicznej i psychicznej osiąga poziom krytyczny między 2 i 5 rano. Wtedy też najczęściej dochodzi do zaostrenia się procesów chorobowych, a ze statystyk wynika, iż w tej krytycznej fazie biorytmu dobowego najczęściej zdarzają się zgony.

Zależnie od pory dnia i nocy słabiej lub silniej działają podane wtedy leki, alkohol lub inne trucizny, mniej lub bardziej pomyślnie przebiega operacja chirurgiczna.

Przykładów można by przytoczyć więcej. Wszystkie one potwierdzają fakt, że czynności istot żywych, począwszy od pojedynczej komórki a na organizmie człowieka skończywszy, podporządkowane są nieustannej oscylacji, kierowanej przez jakiś tajemniczy zegar.

Przyczyny tych rytmicznych

Gwiazdą wywierającą największy wpływ na nasze losy jest Słońce. Wystarczy, by pojawiły się na nim „plamy”, i rozbiłby, by zwiększyło się jego promieniowanie, a już wielu ludzi wchodzi w strefę złośliwego oddziaływania Diennej Gwiazdy. W tych okresach niekiedy miesiące, okresach częściej występują zawały serca, wzrasta liczba i nasilenie objawów psychiatrycznych, częściej są samobójstwa i wypadki drogowe. (Niektórzy twierdzą, że okresy zwiększonej aktywności Słońca pojawiają się mniej więcej co 11 lat.)

Oczywiście, promieniowanie kosmiczne nie zawsze działa na organizm ludzki bezpośrednio. Częściej wpływ jego bywa pośredni. Zwiększona aktywność Słońca oraz wybuchy na odległych gwiazdach powodują, przez wzrost promieniowania, m. in. zakłócenia w polu magnetycznym Ziemi, które z kolei są przyczyną niekorzystnych zmian w komórkach oraz działają stresowo na centralny układ nerwowy, prowadzą do zaostrenia różnego rodzaju dolegliwości i schorzeń. (Obliczone, że np. w okresie tzw. burz magnetycznych wywołanych zwiększonym promieniowaniem Słońca, ilość zgonów wzrasta o 20 proc.)

Wpływ na nasze samopoczucie wywołuje również zakłócenie pola elektrycznego atmosfery. Szybkie jego zmiany są odpowiedzialne za nasilenie się dolegliwości sercowo-naczyniowych, astmatycznych, reumatycznych.

Nie będzie więc ryzykiem zbytnim twierdzenie, że za większość — korzystnych lub negatywnych — zmian w organizmie i w psychice człowieka, za jego dobre lub złe dni odpowiedzialny jest kosmos. On decyduje też o działaniu tzw. zegara biologicznego, wyznaczającego amplitudę i charakter różnych rytmów biologicznych.

Gdzie mieści się ów tajemniczy zegar? Niektórzy sądzą, iż jego siedzibą jest mózg. Wielu uczonych uważa jednak, że cały człowiek jest zegarem. Że, inaczej mówiąc, ów zegar wmontowany jest przez Naturę w każdą komórkę istoty żywej.

## HEROD CZY KONRAD?



— Panie Profesorze, czy w starożytności te dwie postawy także sobie przeciwstawiano?

— Kiedy obecnie patrzymy na Greków i Rzymian, to wydają się nam racjonalistami. Myślą racjonalnie, jasno, twardo, konsekwentnie, nie dają się ponieść uczuciom. Stoicy, do rangi dogmatu podnoszą zasadę: być niewzruszonym i iść za głosem rozumu, natomiast sentymenty, emocje były przez nich odrzucały.

— To jest oczywiście teoria, a jak wyglądała praktyka?

— Otóż w praktyce ludzie i narody żyją pod presją wydarzeń i stąd bierze się fluktuacja różnych postaw. Na przykład rzecz, o której uczymy się w szkołach: Maraton. Ateńczyk wspierani przez oddział Platejczyków odnieśli tam wspaniałe zwycięstwo nad Persami. Grecy, a właściwie małutkie państwowo ateńskie, zamiast racjonalnie, bo tak nazywają rozum polityczny, poddać się Persom, przeciwstawiają im, wbrew temu, co nakazywała oczywistość. Ale właśnie taka irracjonalna postawa przyniosła Ateńczykom sukces. Weźmy inny przykład: historia Żydów. U schyłku I wieku przed naszą erą panował król, którego wszyscy znają z jasełek, Herod. Był racjonalista i realista, rządził twardo, można rzec, że wysługiwał się Rzymianom, ale przez to uzyskał wolną rękę w gospodarowaniu swoim krajem. Stworzył z ówczesnej Palestyny kraj kwitnący, rozszerzył granice, bardzo wiele zbudował. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może wszcząć wojny zwycięzcy z wielkim imperium rzymskim, bo oznaczałoby to klęskę. Ale służalczo wobec Rzymu zaczął ją za niego ostatecznym wizerunku historycznym. A także we własnym społeczeństwie uważano go za bierne narzędzie rzymskiej polityki, gardzono nim, był powszechnie zienawidzony, wielu chciało go usunąć...

Herod przez całe swoje panowanie — był to jego dyktam polityczny, ponieważ nie mógł wprost oznajmić swoich celów narodom — robił wszystko, by uchronić kraj przed bezpośrednim wprowadzeniem rzymskiej administracji. Po śmierci Heroda jego synowie nie mieli tego autorytetu, ani mądrości politycznej. Rzymianie wykroczyli więc w ten sposób, który był powszechnie zienawidzony, wielu chciało go usunąć...

Herod przez całe swoje panowanie — był to jego dyktam polityczny, ponieważ nie mógł wprost oznajmić swoich celów narodom — robił wszystko, by uchronić kraj przed bezpośrednim wprowadzeniem rzymskiej administracji. Po śmierci Heroda jego synowie nie mieli tego autorytetu, ani mądrości politycznej. Rzymianie wykroczyli więc w ten sposób, który był powszechnie zienawidzony, wielu chciało go usunąć...

Dozdo do wybuchu wielkiego powstania żydowskiego za panowania rzymskiego cesarza Nerona. Powstanie przeciw Rzymianom skończyło się strasliwą katastrofą całego narodu. Podsumujmy więc: po jednej stronie mamy realiste Heroda, a po drugiej społeczeństwo — używając współczesnego określenia — romantyczne.

— Czy w tym sporze rację miał tylko Herod?

— Racjonalnie ujmując tak, ponieważ przez długie lata ustrzegł kraj przed katastrofą.

— Jednak powstańcy też czegoś dokonali. Stworzyli wielki mit, symbol dla przyszłych pokoleń...

— Oczywiście. Dlatego dobrze, że w życiu narodów przeplatają się różne postawy, tzn., że są i romantycy i realisci. Mam jednak wrażenie, że u nas mit romantyczny dominuje nad wyobraźnią. Oczywiście w I połowie XIX wieku taka postawa miała uzasadnienie, stworzyła warunki do powstania wspaniałych dzieł literackich. W okresie niewoli nasz naród bywał głównie dziełki wyobraźni, siła słowa, literatura... Chociaż warto też pamiętać, że młodzi romantycy — powstańcy w wielu przypadkach stali się później racjonalistami, pozytywistami, zwolennikami pracy organizacyjnej.

— Potwierdza się więc teza, że mechaniczny podział na romantyków i pozytywistów jest zbyt dużym uproszczeniem. Wystarczy popatrzeć w tym kontekście na „Lalkę” Bolesława Prusa. W tej pozytywistycznej powieści odnajdujemy przecież klimat romantyzmu, „Lalka” kończy się wyznaniem wiary romantyka i wyznaniem niewiary pozytywisty. Jak słusznie zauważył prof. Józef Buszko na łamach „Zdania” — pozytywizm nie zdołał wyprzeć ze świadomości Polaków idei romantyzmu, hasłał niepodległościowy, uodobniana do pięknego gestu, a więc tego, co tkwi w tej świadomości bardzo głęboko. Polski pozytywizm podszty jest romantyzmem, czy tego chemy, czy nie.

— W pełni się zgadzam z tym poglądem. Co więcej, uważam, że nie da się przeprowadzić w naszym kraju i społeczeństwie wyraźnego podziału między romantykami i pozytywistami. W istocie, w każdym z nas drzemie gotowość do zrywu romantycznego, i każdy też gotów jest do twardej pracy, jeśli tylko widzi jej sens. Cały więc problem polega na tym, jak połączyć te dwie siły. Jest to też problem obecnego kryzysu. Powinien pojawić się w naszej świadomości twór zupełnie nowy: REALISTYCZNE MYŚLĄCY ROMANTYK, a nie lansowany na siłę model współczesnego klasycznego pozytywisty. Kryzys w każdym ustroju się zdarzają i na to nie ma rady. Trzeba, jak starożytni, po stoicko znosić trudności, z rzymską konsekwencją i stanowczością pracować nad ich usunięciem i nie tracić romantycznego zapału oraz pozytywistycznej skuteczności w realizacji celów, które wszystkim nam są wiadome i najdroższe. Mówiąc inaczej, w naszych warunkach, trzeba być trochę filozofem a trochę Rzymianinem...

WIESŁAW MERCIK

4) Scisłej: okoloobowego, gdyż zależnie od właściwości osobniczych waha się on od 20 do 28 godzin, a na jego długość wpływ mają także stresy, choroby, leki. 5) O wpływie światła słonecznego na plodność mózgi przykład Eskimosek, które nie zachodzą w ciążę podczas nocy polarnej. 6) W niektórych krajach wykorzystuje się je m. in. w medycynie, lotnictwie, w sporcie, a także w przemyśle. 7) Literatura na ten temat w j. polskim jest znacznie bogatsza.

Rozmawiał: ANDRZEJ STANOWSKI

Rozmawiała: ZDZISŁAWA OTAŁĘGA





# WIELKANOC W KRAKOWIE

Z Wielkanocą wiąże się szczególnie dużo zwyczajów i obrzędów ludowych. Niegdyś symbolizowały one odwieczne wierzenia przesiąknięte magicznymi praktykami. Z biegiem lat nie tylko straciły wiele na swej barwności, ale ich treści, źródła, uległy z wolna zapomnieniu. Wystawa „WIELKANOC W KRAKOWIE” zorganizowana przez muzeum Historyczne i Etnograficzne przybliża obrzędy i zwyczaje dziś często sztucznie podtrzymywane — do niedawna będące żywą tradycją krakowskich okolic. Przyjmijmy zatem niektóre z nich.

**PUCHERY**, albo popularnie — pucheroki: „w kwietniową niedzielę chłopaki czarno szadzami umazany w starym kożuchu z przewróconym futrem do góry lub w starej, czarnej odzieży, w stosownym kapelusiku papierowym z kłitą, z szabłą drewnianą u boku, z koszykiem na zbieranie jaj, które mu dadzą za powiedziana oracyję — wchodzi do izby i prawi oracyję, obracając się w kółko, stukąc w podłogę albo o ziemię kijem w kształcie małego pociaska” — notuje OSKAR KOLBERG.

dzis także i w Krakowie. Zaniechano tylko zasady, według której chłopcy oblewali dziewczęta w poniedziałek, natomiast one odwzajemniały się im we wtorek.

**EMAUS**, krakowski zwyczaj rozgrywał się dawniej w poniedziałek wielkanocny na wzgórzu między kościołami św. Salwatora, drewniana kaplica św. Małgorzaty a murami kościoła Norbertanek. Na starszą wzmiankę o Emausie podał Włoch Giovanni Paolo Mucanti, który w latach 1598-97 bawił w Krakowie: „w poniedziałek wielkanocny cała młodzież i szczerzy w Krakowie przestępują dawnego zwyczajem noszenia tegoż dnia różdek wierzbowych na których rozwinięte są bazy i w drodze na Emaus biją nimi dziewczęta mówiąc: „cóż tak nieskorro idziesz na Emaus?” Na wzgórzu odbywał się dawniej kiersmasz, z biegiem lat kramy przeniesiono na ul. Kościuszkę, gdzie umieszczane są do dzisiaj. Brak tu już tylko tradycyjnych drewnianych zabawek, które można za to obrzeżać na wystawie.

**REKAWKA** nie oznacza tylko nazwy podgórskiej ulicy, ale przede wszystkim obrzęd kulturowy w Krakowie od wieków w trzecim dniu świąt Wielkanocnych. Dzisiaj zatracił już swój dawny charakter i jest lakby przedłużeniem Emausa. Tutaj przenoszą się handlarze, którzy nie sortowali swoich towarów poprzedniego dnia. Zaprzestano natomiast, już pod koniec ubiegłego wieku, innych tradycyjnych zabaw, o których tak pisze Tadeusz Seweryn:

„Na Kopcu Krakusa wyprawiano od czasów zamierzeńskich aż do 1836 roku stypy pogrzebowe, w których uczestniczyli wszyscy. Zebranemu u podnóża kopca ludowi zrzucono z wieżołodka moaty — jaja gotowane, chleb, jabłka oraz resztki jedła świeconego. Dary te były obrzędowym pokarmem zmarłych”.

**PISANKI**. Jajo, prastary symbol życia królowało na stołach wielkanocnych, bowiem Wielkanoc jest zarazem świętem budzącej się do życia przyrody. Szczególnie chętnie barwiono pisanki na kolor czerwony, gdyż posiadały wówczas właściwość magiczną i ponoć skuteczne były zwłaszcza w sprawach sercowych.

Święta Wielkanocne poprzedzał okres długiego postu. W jego ostatnich dwóch dniach rozbitano więc symbolicznie garnek z żurem lub wieszano śledzia na drzewie — jak pisał Kitowicz — karząc go za to, że przez sześć niedziel panował nad mięsem, morząc żołądki ludzkie słabym posiłkiem. Tak więc Wielkanoc, największe święto chrześcijańskie przetrzymało się w największe święto kulinarne. Gdy czytamy opisy staropolskich uciech wielkanocnych odnosi się wrażenie, że strona religijna tego święta, „duchowa”, zepchnięta została na dalszy plan, ustępując pierwszeństwa jak najbardziej „ziemskim” uciechom podniebienia. Jak wyglądały kiedyś „magnackie świecone”, niech nam uzmówi opis wielkanocnego przyjęcia u księcia Sapiehy w Dereczynie:

„Stalo cztery przeogromnych dzików, to jest ile części roku; każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, alias szynki, kiełbasy, prosiatka. Kuchmistrz najcudowniejsza pokazał sztukę w upieczeniu całkowitym tych odyńców. Stalo tamem dwanaście jeleni, także całkowicie upieczonych, ze złocistymi rogami, ale do admrowania, nadziane były rozmaite zwierzyzna, alias zającami, czterewiami, dropami, partuami. Te jelenie wyrażały dwanaście miesięcy. Naokoło były ciasta szałiste, tyle, ile tygodni w roku. To jest pięćdziesiąt dwa, całe cudne placki, mazury, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadane bakalią”.

Dzisiaj pozostaje nam tylko podziwiać zebrane na wystawie w sali Muzeum przy ul. Franciszkańskiej 4 oryginalne stare gliniane i metalowe ozdoby formy na baby, brylanty, miedziane rondle do wypieku ciast, mosiężne syfony, chochle, druzzlaki, bo na stojącym w centralnym punkcie ekspozycji wielkanocnym stole takiej obfitości jedła nie zobaczymy. A szkoda, bo jeśli ufać dawnym wizerowaniom — za co reczy Mikołaj Rej — kiełbasa „chroniłaby” nas od ukaszenia węzą, pieczony jarząbek od... wzięcia, a chrzan od pcheł...

(20)



Można więc na wystawie podziwiać barwne stroje pucheroków pojawiających się do dziś w podkrakowskich Zielonkach, Puchowicach, Kostrzu i Skotnikach.

Pielęgnowane są pod Krakowem i inne zwyczaje. W Wielkie strasza w drugi dzień Wielkanocy przebierały zwani „studami”:

„STUDY”, „chodzą zwykłe we dwójkę. Jeden z chłopców z usmarowaną szadzami twarzą przebrany jest za babę trzymającą na reku dziecko wykonane z lachmanów, drugi zaś również usmolony, obwieszony różańcem z powroza z nanizanych na sznurek ziarniaków lub kasztanów, daje przechodniom do pocałowania krzyż nabity gwóźdźkami, albo częściej tabaką — w rzeczywistości cegła malta utłuczona, zmieszana z szadzami. Maszkary te grasują po drogach i nagabują przechodniów o datki. Osobliwie dziewczęta padają ich ofiarą. Która się im nie okupi, wielką delikwentkę nad starą, jeden porzywa za rece, drugi za nogi i rozciskawasz w powietrzu — buch do wody!” — opowiada o świątecznym zwyczaju TADEUSZ SEWERYN. „Pucheroki” i „Studa-Baba” należą do zwyczajów typowo krakowskich. ŚMIGUS jest już tradycją ogólnopolską, a nawet prawie światową, gdyż jak pisze CZESŁAW WITKOWSKI: należą do prastarych obrzędów ludów euroazjatyckich. Zwyczaj ten zachował się do

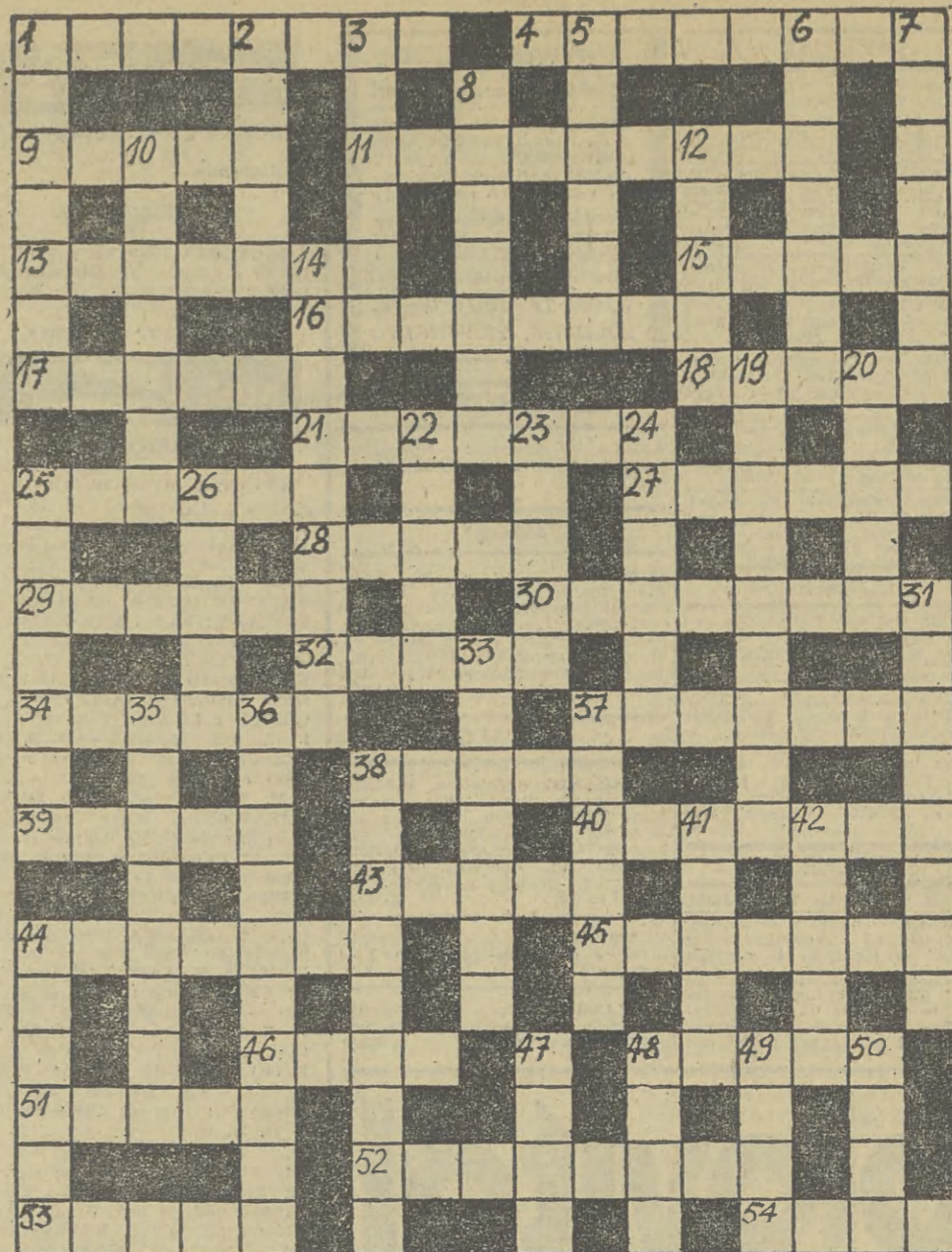


Na zdjęciach reprodukcje pocztówek Agencji „Światowida” świąt trzydziestych oraz malarstwa poświęconego tym piękny tradycjom — zgromadzonych na wystawie „Wielkanoc w Krakowie”, Fot. W. KLAQ

# KRZYŻÓWKA

**POZIOMO:** 1. pełnił tę funkcję ks. Robak, 4. wojewoda pozn. (1436-1501), pisarz polityczny, dążył do umocnienia władzy królewskiej, 9. z gr. — słowo, myśl, pojęcie, rozum, 11. szturchnięcie w bok, 13. wysokiej klasy był nim Boy, 15. lecał łyż, 16. pierwszy do bitki i wypitki, 17. ma zielonkavo-żółte kwiatki w gronach i piękny zapach, 18. zastępuje pieniądze w grach hazardowych, 21. chrząpiący do porannej kawy, 25. starożytni Grecy tak się nosili: luźna, krótkka szata spinana na ramionach, 27. samobójczy z „Hamleta”, 28. liturgiczna, ozdobna szata, wkładana przez głowę, 29. duży ssak z podrzędu waleńi uzeblonych, z mórz Bieguna Pn., 30. nieżyjący już, wspólny aktor, reżyser, pedagog, kreował wiele ról z repertuaru klasycznego, 32. zatoka w pn. części M. Czerwonego, 34. w grupie Cykladów na M. Egejskim, 37. kanclerz za Marii Teresy, wciągnął Austrię do I rozbioru Polski, 38. męski czepek, 39. polski geograf o światowym nazwisku, zał. Instytutu Kartograficznego we Lwowie, 40. połowa roku akademickiego, 43. stan uniesienia, wyteżonego wysiłku twórczego, 44. współczesny, nieżyjący już pisarz fr. — powieści, dramaty, scenariusze filmowe („Maszyna do pisania”, „Orfeusz”) 45. córka Agamemnona i Kltemestry, która mszcząc śmierć ojca przyczyliła się do morderstwa matki, 46. praociec, 48. miejsce urodzenia Kazimierza Wielkiego, (woj. bydgoskie — dzisiaj), 51. niewzruszona norma, prawidło, 52. tak nazywano stolarza wyrabiającego meble fenirowane i lntarsjowane, 53. potrzebne ranemu, 54. sztuczne usypisko.

**PIONOWO:** 1. fundator kościoła, 2. jedna z tych słynnych Pucelin, 3. narażał się na nią starający się widzianny w rodzinie panny, 5. zastanył ją nasi swolżerowie pod Somo Sierra, 6. globalna suma na określone wydatki bez rozbicia na szczegółowe pozycje, 7. wydawca naszego pierwszego pisma „Merkurusz Polski”, w 1661 r. 8. stanowią o waloch widokowych niewiśności albo ich braku, 10. obiecanki na wierzbie, 12. interesy źle stoją, 14. związany z



J. Kochanowskim, 19. katastrofa na szosie, 20. tłuszcz i miasto, 22. należy do góralskiego stroju, 23. lecał ani się obejrzy, 24. na niebie — zwiastun wojny, 25. pół człowiek — pół koń, 26. londyńska siedziba królów, potem więzienie, teraz muzeum, 31. raj dla przyrody, 33. uczeń, stnik bachanalii, 35. cesarz rzym. od 81 r., despot, wypędził filozofów z Italii, zamordowany, 36. stanowią o superkomforcie mieszkania, 37. w RFN, ośrodek produkcji lokomotyw, wagonów, samochodów (Henschel), jest tu też galeria malarstwa, 38. ogromnie długowieczny patriarcha biblijny (miał żyć 969 lat), stąd określenie b. późnego wieku życia, 41. pod nosem niedoroska, 42. 100 zł, 44. laska wspinacza wysokogórskiego, 47.

poeta czeka na jej przyjęcie, 48. polski diabeł, 49. otwór w czołgu, 50. drzewo — oszukactwo.

**Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 8.IV.1983 r. (decyduje data stempla pocztowego) z dopiskiem na kopercie „Krzyżówka nr 13”. Wśród czytelników, którzy nadesłały prawidłowe rozwiązania, redakcja rozlosuje nagrody w postaci 10 książek.**

## ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11

**POZIOMO:** 5. Tutenchamon, 8. czoło, 10. France, 12. kwagga, 14. maskota, 15. Gorce, 16. lando, 17. Laokoon, 19. Parnas, 22. talent, 24. kukła, 25. lejbgwardia.

**PIONOWO:** 1. żupan, 2. serce, 3. kapok, 4. kobra, 6. ciołek, 7. krajobraz, 9. oględziny, 11. cyrnella, 13. wialnia, 18. Kraków, 20. numer, 21. skiba, 22. Tatrzy, 23. lilie.

## NAGRODY WYLOSOWALI

Za prawidłowe rozwiązanie zadań w krzyżówce nr 11, z dnia 19/20 III 1983 r. książki otrzymują: K. Orzechowska — Tarnów, L. Malinowski — Brzesko, J. Pisarski — Rabka, Z. Siępska — Skawina, P. Śliwa — Chorzów, F. Żytnieka, K. F. Opiłta, J. Ciempka, S. Cholewicka, 5. Pańczyk — Kraków. Nagrody zostaną wysłane pocztą.



**Kobiety wiedzą szaryzają, gdzie znajdują się słabe punkty ich urody, więc starają się je ukryć, i szustnie. Makijaż i pielęgnacja cery są od tego, aby skóra była zdrowa i gładka, a efekt końcowy wszystkich zabiegów dodatni. Ale czy nie można tego robić lepiej? Odrobina różu na końcach**

usu, kiedy idziemy z wizytą, podkreśla świeży wygląd i efekt całości makijażu.

Kiedy masz zły dzień i mizernie wyglądasz, połóż odrobinę różu nie tylko na policzki, ale także na środek czoła i brody. Starannie rozprowadź. To bardzo rozjaśnia twarz.

Twoje rząsy będą wydawały się dwa razy dłuższe, jeśli będziesz malować je w następujący sposób: warstwa tuszu, warstwa pudru, potem pociągnij je znów tuszem.

Abv rząsy ładnie się podwijały, maluj je tak: pierwszą warstwę tuszu kładź tylko na końce, poczekał aż wyschną, następnie maluj je na całej długości, od nasady do końca.

Jeśli twoja wargę dolną jest trochę płaska, aby nadać jej wypukłość połóż, po umalowaniu, na jej część środkową odrobinę tuszu (najlepiej będzie błyszczyk do ust).

Abv utrwalisz pomadkę na ustach przyłóż do nich, po umalowaniu na kilka sekund, kawaleczek lodu.

Kiedy jesteś zdenerwowana i latwo poci Ci się dionie — jest na to sposób: rozetrzyj na dłońach trochę środka przeciwpotowego, poczekał aż wyschnie. Pomaga na wiele godzin.

Jeśli czujesz się z grywką i zdarzy się, że włosy nie są puszyste, a nie masz czasu, aby umyć je w ciepłej, umyć tylko grzywkę nadając jej puszystość przy pomocy suszarki i szcztoki.

## A TERAZ COS EKSTRA!

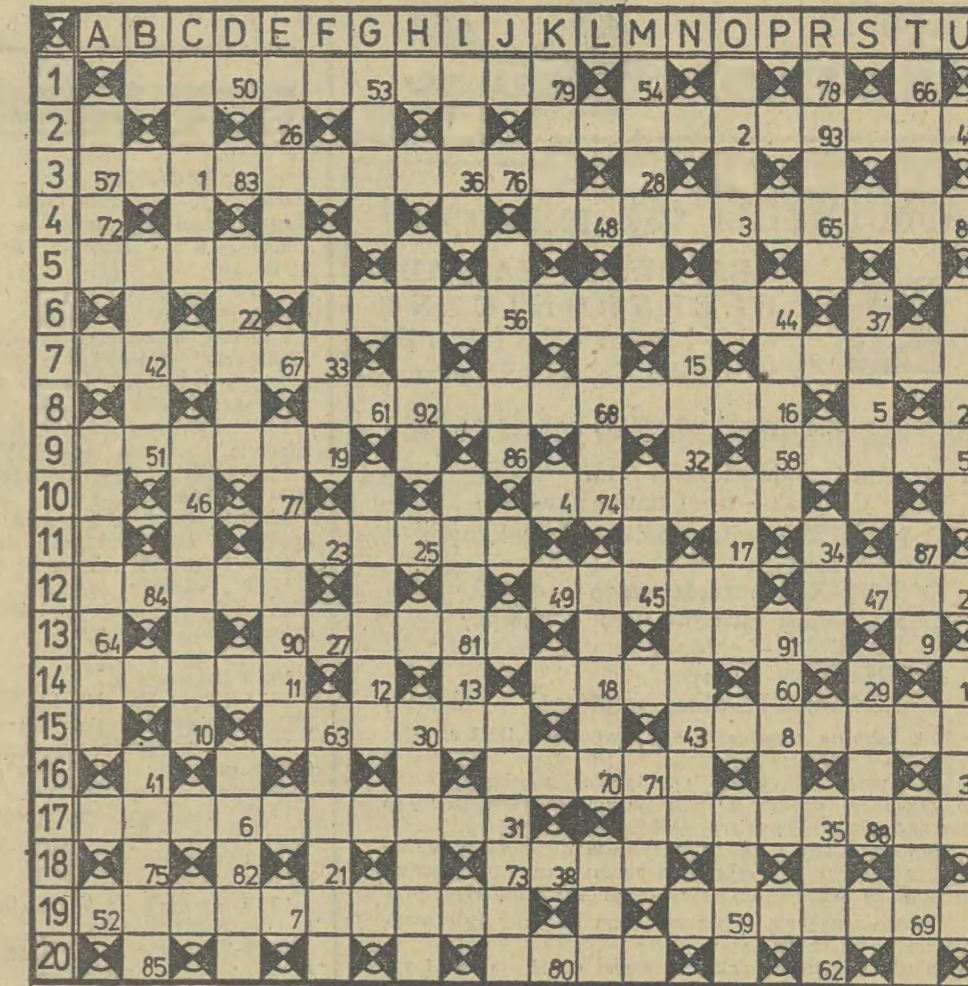
Zadbaj na wiosnę o swoją cerę; po umyciu i osuszeniu opłukuj przez chwilę twarz i szyję watką maczaną w herbatce naparzonej z kwiatu lipowego (sporo szczypta na pół szklanki wrzątku, niech naciga pod przykryciem przez 15 min., z dodatkiem miodu. Po ukończeniu tego zabiegu pozwól skórze wchłonać ten cudowny płyn, nie osuszaj jej. Tak porcja wystarczy nam na wieczór i rano. Resztę płynu wylewamy, a wieczorem przygotowujemy nową. Herbatka ta oczyszcza skórę, usuwa spierzchnięcia i łuszczy się naszkórek. Już po kilku dniach zauważysz poprawę. (Osoby uczulone na kwiat lipy lub miód nie mogą jej stosować). (LE)

# ŁAMI-GŁÓWKA

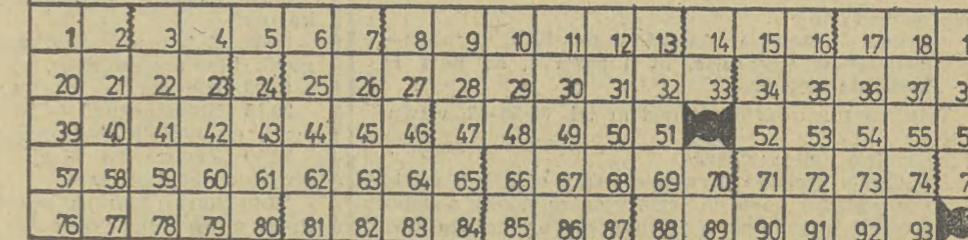
**Litery uporządkowane według liczb w kratkach utworzą hasło — fragmenty wiersza Mariana Żaluckiego — które wystarczy nadesłać jako rozwiązanie.**

**POZIOMO:** I. dwuplatowiec radziecki z II wojny światowej, 2. wzniesienie ogniska, 3. stynna .. 3. Maj, 4. obiektów na plan lub poprawek w tekście, 5. mierzenie, 6. zamęt, 7. kraina nad środkowym Dniestrem i Bohem — mapiatka madagaskarska, 8. ludzik, 9. maszynista koła — pierwsze wyjście kartą w grze, 10. wyznaczony czas, 11. uzeblony waleń, 12. czyni cuda — żona Boryna — uszczerbek, szkoda moralna, 13. przyjaźń, którą można trzymać — bóg miłości, 14. diabeł, szatan — lany w „Andrzejki”, 15. minerał, odmiana dwutlenku tytanu — amortyzator w stawie kolano-wym, 16. nad nią Werona, 17. podrzędna część zdania — wykop umożliwiający zbadanie gruntu, 18. teren porośnięty trawą, 19. potocznie: nauczycielka szkoły średniej — część siewnika żłobiąca rowki, 20. los.

**PIONOWO:** A. odkryty obiekt fortyfikacyjny — ścisłkana przy powitanii, B. w niej dętka — ukryty w baśniach, C. polsko-niemiecka wyspa przybrzeżna — najemca mieszkania, D. obraz z cerkwi — łgarstwo, blaga, E. nad Bałtykiem na północ od Słupska — rodzaj gry w karty, w oryginalnej pisowni, F. przedmiot — presja, G. milczą gdy śpiewa dusza — wysmienita okazja, H. czarna, malista ciec — prawy dopływ Padu, I. odwrotna strona ubrania — w parze z Mazurami, J. do trzymania na wodzy — produkcyjny lub o coś, K. nad zlewem, L. u Wałkowicza na kraterze — zalecani, miłośki — inaczej stępka, M. wielkanocna wędlina — dał w niego Wojski — uzupełnienie Damanu i Diu, N. Hikmet Ran, poeta turecki



R. TRELA



— ilość wydawanych egzemplarzy książki, O. autor „Elementarza” — uczyony duchowny mu-zulmański — do gołenia, P. etnolog, etnograf i archeolog angielski działający w Australii — ziennym oknie — wyspa nie sen.

R. niejedyn na rykowisku — biały barszcz — rodzaj zamka do drzwi, S. spiszek — wedle niego gołbia, T. źródłemomomocna” — nocny motyl — obraz bez wartości, U. w więzieniu królów Szwecji i Norwegi,

Rozwiązania prosimy nadsyłać na adres redakcji, do dnia 8 kwietnia br., z dopiskiem na kopercie „Łamiogłowa wielkanocna”. Wśród nadawców prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy 5 książek.









